

„W przestrzeni mojej wyobraźni
Wytyczam drogę którą pragnę podążać”

Kacze Pióro



*XXIII Ogólnopolski Przegląd
Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży*

Katowice 2018

Pałac Młodzieży
im. prof. Aleksandra Kamińskiego
Placówka Oświatowo - Wychowawcza Miasta Katowice

„Kacze Pióro”

XXIII Ogólnopolski Przegląd
Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży

Cytat zaczerpnięty z wiersza Magdaleny Hoba

Zachowano wersje autorskie opublikowanych tekstów

Opracowanie tekstów i skład:

Agnieszka Nowicka

Przedmowa i komentarze do prac:

dr hab. Iwona Gralewicz – Wolny

ISBN:

978-83-946741-1-3 publikacja elektroniczna w formacie PDF

978-83-946741-2-0 publikacja elektroniczna w formacie EPUB

978-83-946741-3-7 publikacja elektroniczna na nośniku

Wydawca:

Pałac Młodzieży

Katowice 2018

Jury „Kaczego Pióra”

Przewodnicząca:

dr hab. Iwona Gralewicz – Wolny

Członkinie:

mgr Agnieszka Sowińska

mgr Agnieszka Nowicka

Fundatorzy Nagród i przyjaciele Przeglądu:

Stowarzyszenie Czasu Wolnego Dzieci i Młodzieży

Rada Rodziców przy Pałacu Młodzieży w Katowicach

Dziękujemy, dziękujemy, dziękujemy...

Drogie Autorki i Autorzy, Szanowni Czytelnicy i Czytelniczki,

z radością prezentujemy Wam efekt końcowy XXIII Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Literackiej Dzieci i Młodzieży „Kacze Pióro”. Jak co roku cieszyliśmy się mnogością prac, jakie dotarły do nas z różnych rejonów kraju, i jak co roku komentowaliśmy ich zróżnicowany poziom oraz zmianę trendów w wyborze tematu i środków jego opracowania. Szukając różnic między kolejnymi edycjami konkursu, nieodmiennie podziwiamy pisarski zapał i potęgę wyobraźni demonstrowane przez Autorki i Autorów prac. Zawsze też zastanawiamy się, jak potoczą się ich literackie losy, jakie teksty jeszcze przed nimi. Towarzyszy nam bowiem głębokie przekonanie, że ich „czynna” przygoda z literaturą nie skończy się wraz z tym konkursem, że potrzeba kreowania światów przedstawionych i zamykania emocji w wierszu będzie już na zawsze udziałem tych, którzy zdecydowali się podzielić z nami swoją twórczością. Bo z pisaniem jest trochę tak, jak z czytaniem – kto raz zaznał przyjemności tekstu, nie będzie już umiał jej sobie odmówić. Pragniemy podkreślić, że nagrodzone prace prezentujemy nie tylko z chęci i potrzeby wyróżnienia ich autorów. Publikacja ta jest adresowana w równym stopniu do tych, którzy nie mieli jeszcze odwagi sięgnąć po pióro – niech stanie się zachętą do spróbowania swoich sił w tej trudnej, ale jakże ekscytującej sztuce budowania świata ze słów.

Jurorki





Nagrody

Nagroda za wiersz

w grupie wiekowej 10-12 lat

OLIWIA HEBDA

Z KATOWIC, 11 LAT

O GIEŃ

Pierwsza zapałka... druga... trzecia...

To jest ogień!

Ogniki zaczęły tańczyć

Iskry wszędzie leciały

Z jednego ognika były dwa... pięć... dziesięć

A dym wspinał się jak drabina do nieba

Ogniki swój taniec przyspieszały

O nie, to pożar!

Taniec był szybki, w lewo, w prawo, obroty, tupnięcia

Ogień wciąż iskrzył

Las w płomieniach zatonął

A co to? Deszczyk mały

Ogniki swój taniec spowalniały

I wszystkie się przewracały

Nagle światło znikło

To ogniki tańczyć przestały

Z pozoru niepozorny wierszyk o ogniu ujmuje różnorodnością poetyckich środków wyrazu. Wiersz jest taki, jak jego bohater – żywy, dynamiczny, „z ogniem”. Kilkanaście krótkich wersów opowiada historię od pierwszej zapalki do zgaśnięcia płomienia. Dla uważnego czytelnika nie będzie to wyłącznie opowieść o ogniu, ale też o możliwościach poezji, która nie tylko ilustruje świat, lecz również na swój sposób go stwarza.



Nagroda za wiersz

w grupie wiekowej 13-15 lat

NATALIA ŁYŚ

Z CHARSZNICY, 15 LAT

T

EATR

Kukielka

Rzeczą dla świata

Zabawką

Zatańczy?

Zatańczy

Zaśpiewa?

Oczywiście drodzy państwo, zaśpiewa zatańczy

Nikt już dawno nie oglądał teatrzyku kukielkowego

Zatrzymaj się

Kukielki są wszędzie

Tylko nie widać sznureczków

Odwołując się do odwiecznego motywu literackiego świata jako teatru i ludzi jako jego aktorów, Autorce udało się powiedzieć coś nowego. Dramaturgię utworu budują retoryczne pytania i oficjalny zwrot do czytelników-widzów spektaklu, który w zakończeniu wiersza zostaje zastąpiony zwrotem do indywidualnego odbiorcy. Najważniejsze jednak dzieje się w puencie: „Tylko nie widać sznureczków”. Niepozorne zdrobnienie przydaje wierszowi – no właśnie, czego? Ironii? Goryczy? A może po prostu dystansu?





Nagroda za opowiadanie

w grupie wiekowej 13-15 lat

ANNA MACUDA

Z JAWORZNA, 15 LAT

T

ERAZ JUŻ BĘDZIE INACZEJ

Marek otworzył drzwi, rzucił na wersalkę teczkę i opadł bez sił na pieczołowicie poukładane przez Annę poduszki.

– Buty – warknęła przez zaciśnięte zęby kobieta.

– Że co?

– Buty! – ryknęła już całkiem zirytowana. – Nie widzisz, że posprzątałam. Może starałbyś się przynajmniej uszanować to, że twoja żona od rana do wieczora nic innego nie robi, tylko dba o to, abyście mieszkali w czystym, uporządkowanym domu, w którym zawsze czeka na was ciepły obiad. Nie widzisz tego, że nie mam chwili dla siebie, bo cały czas sprzątam, gotuję, piorę, prasuję, układam?

– Czy ty musisz gderać? Wraca człowiek do domu po ciężkiej pracy, urobiony po łokcie, ma tego dość, że wciąż musi się szczerzyć do szefa, udawać, że podoba mu się coś, co mu się nie podoba, kłaniać się w pas jakimś idiotom, którzy nawet studiów nie skończyli, a zarabiają trzy razy więcej od ciebie i pomiatają tobą na każdym kroku i... rozczochrana żona wita go z pretensjami, bo... butów nie ściągnął! Czy ty raz, jeden raz w życiu nie możesz po prostu odpuścić i odprężyć się?!

– No nie – ryknęła Anna – ty nadal nic nie rozumiesz! Ja nie narzekam na to, że muszę sprzątać. Ja kocham sprzątać i mogę to robić, pod warunkiem...

Tego jednak Marek już nie usłyszał, bo głos Anny zniknął w tupocie stóp ich pięciorga latorośli, którzy, jak stado bawołów zbiegli z piętra domu.

– Tatuuuuś!!! – wrzeszczały dzieci i rzuciły się ojcu na szyję. Wówczas Marek chwycił poduszkę i zaczął ze śmiechem okładać nią najmłodszego Jasia. Chłopiec śmiał się do rozpuku. Natychmiast, jak na komendę, reszta dzieci zaopatrzona w podobny oręż podjęła wyzwanie. Nikt z nich nawet nie zauważył, gdy Michał, który właśnie z wojennym okrzykiem

Indian zaatakował od tyłu Martę, dłonią strącił otwarty karton soku porzeczkowego. Fioletowa słodka ciecz szybko spłynęła z ławy i ozdobiła sam środek beżowego, świeżo wypranego przez Annę dywanu. Kobieta jęknęła. Ale to było dopiero preludium armagedonu, który nastąpił, gdy do pokoju z piskiem wpadł zwabiony pewnie wojennymi okrzykami szczeniak. On nie mógł być gorszy. Przecież nic, ale to nic w tym domu nie mogło się odbyć bez niego, a już na pewno nie tak przednia zabawa jak okładanie się czymś miękkim i pachnącym. Pitagoras chwycił zębami róg jaśka i warcząc, zaczął ze zdobyczą w zębach biegać po całym pokoju.

– Neeee! – wrzasnął Marek i rzucił się w stronę pupila, chcąc mu odebrać trofeum. W ślad za panem domu ruszyła piątka latorośli i tylko Anna stała oszołomiona, wciśnięta w róg pokoju.

– O nowa zabawa! – pomyślał Pitagoras. – A, mam uciekać, żeby mogli mnie gonić.

Zacisnął jeszcze mocniej zęby na poduszce i ruszył pędem w kierunku stołu. Nagle nie wiadomo dlaczego na jego drodze wyrósł kwiatek, ten, który w ozdobnej doniczce podarowała mamusi ciocia Krysia. Pitagoras stwierdził, że ta dziwna roślina dużo lepiej będzie wyglądała, leżąc na ziemi. Natychmiast stracił zainteresowanie miękkim jaśkiem i w biegu chwycił w zęby kwiatowy badyl.

– O, chyba są ze mnie zadowoleni – przebiegło psince przez głowę, bo teraz do akcji pościgowej wkroczyła nawet mamusia. – Ale fajna zabawa – warknął uszczęśliwiony Pitagoras – mamusia to chyba ze śmiechu płacze – pomyślał dumny z siebie.

– Mama, śnieg! – ryknęły bliźniaki.

Anna podniosła głowę. W powietrzu wirował biały puch, który wyleciał z podziurawionej przez Pitagorasa poduszki. Marek nieśmiało rozłożył ręce.

– No, nie przeszkadzajmy mamusi – rzekł pojednawczo. – Jest zmęczona. Chodźmy na spacer, tata jest wprawdzie wykończony, ale rozumie, że mama musi też odpocząć.

To mówiąc otworzył drzwi i razem z hordą dzieciaków i szalonym psem wypadł na podwórko.

Anna westchnęła i zdezorientowana rozglądnęła się po pomieszczeniu. Machinalnie zaczęła zbierać rozrzucone poduszki, podnosić to, co zostało z tak pieczołowicie podlewanego przez nią kwiatka. Gdy już dom był uprzątnięty, otworzyły się drzwi i stado bawołów na czele z samcem alfa wbiegło znacząc szlak śladami ubłoconych stóp. Ten roześmiany peleton zamykał rozanielony pies. Już na pierwszy rzut oka Anna spostrzegła

dlaczego Pitagoras był taki szczęśliwy. Jego sierść cudownym sposobem zmieniała bowiem barwę z biszkoptowej na brązowawy. Anna jęknęła, ale widząc szczęście w oczach swoich pociech i czując na sobie badawczy wzrok męża odwróciła się i dostownie pocłapała w kierunku sypialni.

– Mama!- wrzasnęły za nią bliźniaki. – Co na kolację?! – darty się, bynajmniej wcale nie przypominając osłabionych z głodu istot.

– Dajcie spokój mamusi! – ryknął tata. – Wszystkie twarze jak na komendę zwróciły się w jego kierunku, świdrując go wyglodniałymi oczami.

– To co? Dzisiaj ty gotujesz? – zapytał z niedowierzaniem Michał.

– Yyyy... – bąkał tata. – No... ten, tego, ten – plątał się, widząc chyba oczyma wyobraźni siebie bełtającego z szybkością światła jajka na jajecznicę przy wtórze skandujących głodowe hasła latorośli. Przenikliwie spojrzał na Annę szukając w jej oczach ratunku, ale widząc tylko błyski wściekłości w końcu krzyknął:

– Zamówimy pizzę!

To, co stało się w następnej chwili, można porównać do reakcji kibiców, do których właśnie dotarło, że ich ulubiona drużyna piłki nożnej wygrała jakieś światowe mistrzostwa.

– Hurraaaaa! – wrzeszczała gromada – Hurraaaa! Niech żyje tatuś!

Nawet Pitagoras po psiemu też okazywał szaleńczą radość, choć nie bardzo wiedział, co jest jej powodem. Wyszedł jednak z jedyne logicznego założenia, że gdy wszyscy się cieszą, jemu nie wypada robić inaczej. I chyba tylko Anna okręciła się na pięcie i z zaciśniętymi ustami wyszła z pokoju.

– To jaką tę pizzę chcecie? – spytał Marek przekrzykując harmider.

– No, ja z salami, podwójnym serem, pieczarkami i...

– Pogięło cię, przecież Jasiek nie lubi pieczarek – powiedziała Kasia.

– A ja nie tknę salami – warknęła Marta.

– A to dlaczego? – spytał zdziwiony tata.

– To jest niezgodne z jej światopoglądem – odrzekł poważnie Ludwik.

– Co? – zapytał tata całkowicie zbity z tropu.

– Ona od wczoraj jest wegetarianką – burknął Michał. – Ale ja nie wyobrażam sobie pizzy bez salami. Nie dam się terroryzować jakiejś babie.

– Babie?! – ryknęła Marta skacząc w kierunku Michała z zaciśniętymi pięściami.

– Ciszaaaa! – wrzasnął tata zasłaniając syna własną pierśią. – Będą dwie pizze. Jedna z salami, a druga z tuńczykiem.

– Ale ja nie lubię ryb! – obruszyła się Kaśka.

– To trzy – sapnął ojciec kapitulując.

– Tatusiu, ty jesteś najlepszym tatą na świecie- powiedział przymilnie Jasio, wtulając się w ramiona ojca. – Ale czy mamusia nie będzie zła, że jemy na kolację takie niezdrowe zeczy? – zapytał rezolutnie.

– Stawimy jej czoło – rzekł ze śmiechem tata, zakładając, jak hełm na głowę durszlak i biorąc chochelkę do ręki.

– Tata rycerz! Tata rycerz! – krzyczała cała piątka latorośli.

– Pokona mamę Godzillę! – ryknęła Marta.

To ostatnie słowo echem odbiło się po domu i dobiegło do uszu Anny, która zwinięta w kłębek leżała w sypialni.

– O nie! – pomyślała kobieta. – Ja im dam Godzillę – syknęła przez zaciśnięte zęby.

Rano obudził Annę lepki, mokry psi język.

– Ej, Pitagoras przestań – syknęła zaspana kobieta. – Nie, nie wstaję, dzisiaj każdy sam robi sobie śniadanie – wymamrotała ziewając.

– Sam lobi śniadanie! Sam lobi śniadanie! – krzyknął Janek, który we flanelowej pizamie stanął właśnie w drzwiach sypialni. – Mama pozwala nam samym gotować! – darł się coraz głośniej. Wstaaawaaa!!! – zaczął w końcu ryczeć jak syrena alarmowa.

– Coś ci zaszkodziło? – wrzasnęła Marta uchylając drzwi swojej sypialni. Obudzisz mamę i się zaczniesz. Zwariowałeś?! Dzisiaj przecież sobota, czyli...

– Tak, tak... Planie, spsątanie, odkuzanie, mycie... Ale kiedy naplawdę mama powiedziała...

– Naplawdę, naplawdę – zaczęła przedrzeźniać go dziewczynka.

– Mamusiu! – zawył chłopiec – Bo Malta mnie psedzeźnia! Mówi, że ja mówię naplawdę, jak ja naplawdę wcale nie mówię źle naplawdę! Naplawdę ja tego nie wytsyamam i zalez jej psytoze! Jak Boga kocham, że ją walnę.

– Czy wy musicie się tak drzeć? – dobiegł z pokoju obok zirytowany głos Michała. – Jak się nie zamkniecie, to zapakuję was do worka i wystawię na podjazd, to może ktoś się skusi i was zabierze.

– Mamusiu, bo Michaś mi grozi – zawył znowu Jasiu.

– Ja ci powiem Michaś! Ja ci powiem Michaś! – wrzasnął chłopak i jak pocisk wypadł z pokoju. – Tyle razy mówiłem ci kretynie, że ja nie jestem żaden Michaś, Misiu, Misiaczek, tylko Mi-chaś. Rozumiesz? Mi-chaś! – ryknął trzymając go za poły flanelowej koszuli. – Mi-chaś!

– Hau- hau! Hau – hau! – wrzasnęła ośmioletnia Kasia powtarzając ostatnią sylabę imienia brata. – No, ja nie wiedziałam, że ty tak szczekać potrafisz. – Wszyscy ryknęli śmiechem. Czerwony ze złości Michaś puścił Jasia i z zacisniętymi pięściami obrócił się w stronę Kasi.

– Kobiety, to nawet kwiatkiem przymule tknąć się nie godzi – syknął Ludwik zastaniając własnym ciałem młodszą siostrę i robiąc przy tym gardę.

– Mamusiu, on bije Ludwicka – zapłakał Jasio.

– Nie jestem żadnym Ludwiczkim! – ryknął Ludwik odwracając głowę w stronę brata i wtedy właśnie padł pierwszy cios.

Anna przyglądała się całej kłótni, starając się zachować kamienną twarz, choć czuła, że jeśli starcie dzieci potrwa jeszcze chwilę, to nawet liczenie do dziesięciu nie zatrzyma wybuchu złości, który na razie ścisnął jej żołądek. Ludwik zaciskał palcami skrzydełka nosa, z którego sączyły się krople krwi.

– Mamo on mnie uderzył! – wrzasnął oszołomiony patrząc na Annę.

– Krew, krew... – piszczały dziewczyny. – On się wykrwawi!!! Raaatuuunku!!!

– Ulatuję cię – krzyknął Jasio sięgając po telefon podczas gdy Pitagoras zlizywał już lepką, czerwoną ciecz z paneli. – Zadzwońmy na 112 i tam cię naplawią. Tak mówili w przedszkolu. – ciągnął Jasiak rezolutnie wystukując już kolejne cyfry.

– Niiiee! – ryknęła Anna wrywając najmłodszemu dziecku słuchawkę.

Dzieci zamarły patrząc na mamę, która jakby maskując wybuch złości uśmiechnęła się sztucznie i wymamrotała, że do wesela się przecież zagoi.

– A która by go chciała? – wyrwało się Kaście, ale szybko zamilkła widząc wściekły wzrok brata.

– Zrób sobie okład z lodu i nic ci nie będzie.

– Ale jak to, nie ukarzesz go? – zapytał z pretensją w głosie Ludwik.

– Nie, to w końcu męska sprawa – odpowiedziała Anna. – Sami mi tłumaczyliście, gdy ostatnio musiałam stawić się u szkolnego pedagoga, że mężczyźni czasami muszą sobie dać po gębie, aby się dogadać.

– No, tak... – odparł z niedowierzaniem Michał.

– Prawda – zawtórował nosowo Ludwik.

– Sorry stary – powiedział Michał, wyciągając rękę na zgodę.

– Spoko brachu – odparł Ludwik, ściskając zakrwawioną ręką prawicę napastnika.

– No, to zgoda? – powiedziała wesoło Anna. – Zatem czas na śniadanko! Dzisiaj kuchnia należy do was. Możecie poszaleć i zjeść, na co tylko macie ochotę.

– Mamusiu, a czy ty się na pewno dobrze czujesz? – zapytała Kasia patrząc badawczo na rodzicielkę.

– Wspaniale córeczko. Nie pamiętam, kiedy czułam się lepiej. – odparła z uśmiechem Anna, opadając z powrotem na poduszki.

– To będzie najwspanialsze śniadanie ever – szepnął Ludwik mieszając trzepaczką ciasto na naleśniki. – Dlaczego to jest takie płynne – zastanawiał się głośno.

– Bo baranie dałeś za mało mąki – warknęła Marta, która na małej patelni smażyła właśnie omlet.

– Fuj! – wrzasnął Michał, który nieopatrznie nadepnął bosą stopą na skorupkę jajka leżącą na podłodze.

– Jasiu, podaj mąkę! – krzyknął Ludwik. – Jaaasiek, co ty głuchy jesteś? – wrzasnął poirytowany, widząc, że młodszy brat wcale nie zamierza mu pomóc.

– Tosta smaluję. Nie widzisz?

– Ale musztardą? – zapytała zdziwiona Kasia.

– A mustaldą – odparł Jasiu. – I jesce wzolek zlobie z kecupu – szepnął uśmiechnięty.

– Ja ci pomogę Ludwik, ale dla mnie też usmażysz. OK? – zapytał Michał – Ile chcesz tej mąki?

– No nie wiem. Syp na oko – powiedział chłopiec.

– O rany, sorry! Przedobrzyłem! – zawył Michał, gdy większa część zawartości torebki wylądowała w garnku.

– Nie bój żaby – odparł zadowolony Ludwik, którego ledwo było widać w białej mącznej chmurze unoszącej się nad rondelkiem. – Doleje się mleka, wbije jeszcze cztery jajca i git będzie.

Gdy godzinę później dzieci usłyszały kroki mamy schodzącej z piętra zamarły. Chyba tylko Pitagoras zdawał się nie przejmować faktem, że zbliża się kataklizm i z zadowoleniem zbierał z podłogi leżące to tu, to tam resztki jedzenia. Przerażone rodzeństwo omiotło wzrokiem kuchnię.

– Może powiemy, że to Pitagoras? – wyszeptał drżącym głosem Janek.

– No już, idioto. Wmówisz mamie, że pies trzepał ciasto na naleśniki, potem smażył i jeszcze dżemem smarował?! – powiedział poirytowany Michał.

– To może skłamiemy, że było włamanie? – wyjąkała Kasia.

– Tak, mamusiu, odwiedzili nas uchodźcy. Byli bardzo głodni. Wpadli, zjedli i wypadli. – ironizowała zdenerwowana Marta.

– To co, masz lepszy pomysł? – syknął Ludwik, ale nie zdążył dodać nic więcej, bo zza rogu salonu wyszła mama.

– O, jak tu ładnie pachnie – powiedziała z uśmiechem patrząc na przerażone twarze swoich latorośli. – Coście smakowitego upichcili? Coś zostało dla gderliwej matki? – zapytała siadając na lepiącym się od dżemu stołku.

Rodzeństwo milczało.

– No co tak patrzycie, jakbyście ducha zobaczyli? – spytała aksamitnym głosem Anna. – Pytam, czy ja też mogę skosztować tych pyszności?

Sparaliżowane dzieci bez słowa rzuciły się do garnków i za chwilę na talerzu mamy dymił jajowaty, przypalony, dziurawy naleśnik leżący w towarzystwie marnie wyglądającego kawałka omeletu i kwadratowy tost obficie posmarowany musztardą z keczupowym sercem na środku.

– Słuchajcie dzieciaki – powiedziała Anna wycierając piętnaście minut później serwetką usta. Za cztery godziny tatuś wróci z pracy i...

– Taaa... sprzątanie... – wymamrotał Ludwik opierając z rezygnacją głowę o blat stołu.

– No, to też – szepnęła mama. – Moglibyście troszeczkę posprzątać. Ja jednak chciałam wam powiedzieć, że muszę na chwilę wyjść. Godzinka, góra dwie – uśmiechnęła się przepraszająco. – Poradzicie sobie?

– Czy my sobie poradzimy? – też pytanie – powiedziała z przekonaniem Marta.

– My nie tylko sobie poradzimy – zaczął mówić z emfazą w głosie Ludwik – ale i posprzątam, nauczymy się, ugotujemy, odrobimy lekcje...

– Eeee... Wyhamuj – szepnął Michał.

– No, mamusiu możesz być spokojna, wszystkiego dopilnuję – powiedziała Kasia.

– To cudownie – odrzekła uśmiechnięta Anna. – Wiedziałam, że mogę na was liczyć.

To mówiąc cmoknęła w czubek nosa Janka i tanecznym krokiem wyszła z kuchni.

– Czy nie uważacie, że mama jest dzisiaj jakaś dziwna? – zapytał konspiracyjnym głosem Michał.

– Jak ty mało wiesz o kobietach... – odrzekł Ludwik otwierając paczkę paprykowych chipsów.

– Jezusie!!! – ryknął Marek przestępując próg domostwa. – Anka, dzieciaki! – krzyczał z przerażeniem biegnąc po salonie. – Ankaaaa! – ryknął ile tchu w płucach.

– A, już jesteś... – powiedziała spokojnie kobieta z uśmiechem schodząc z piętra.

– Boże, co tutaj się stało? – wysapał Marek rozglądając się zdezorientowany po salonie.

Dom wyglądał jak po najeździe. Wszędzie leżały porzucane poduszki, elementy garderoby, chrupki kukurydziane, chipsy i kredki.

– Ktoś się skaleczył? – wymamrotał niewyraźnie mężczyzna wskazując krwawe ślady dziecięcych rąk odbite na ścianie.

– A... nie... – powiedziała ze spokojem Anna, to tylko dzieci bawiły się w Indian i malowały twarz w barwy wojenne.

– A to... – spytał oszołomiony Marek pokazując rozciągającą się przed nim budowlę złożoną z koców, kołder i poduszek, pieczołowicie ułożonych na prowizorycznych podpórkach utworzonych z krzesel i stołów.

– Ciekawe, prawda? – odparła z uśmiechem Anna. – To obozowisko uchodźców. Dzieci chciały po prostu zobaczyć, jak to jest żyć w takich zbudowanych naprędce namiotach. Dzisiaj postanowiły tam podobno spać. Mówię ci, tak się zaangażowały w to budowanie, że nawet nie tknęły komputera, ani tabletów.

– Ale tutaj się nie da nawet przejść... – jęknął Marek. – Anka, czy to czasem nie jest ta moja najlepsza jedwabna koszula – wrzasnął z przerażeniem, podnosząc z ziemi jakąś szmatę.

– No tak. Nie denerwuj się kochanie. Pitagoras po wczorajszej pizzy miał sensacje żołądkowe i powiem ci, że możesz być dumny ze swoich dzieci. Same posprzątały po naszej psince. No, a że twoja koszula akurat była pod ręką... – westchnęła urywając. – Ale nie możesz powiedzieć, że nasze dzieci nie są kreatywne – powiedziała z dumą omiatając wzrokiem pokój. – Miałaś rację, moimi wygórowanymi wymaganiami tłumiłam ich inwencję twórczą i tymi ciągłymi pretensjami niszczyłam nasze małżeństwo. Teraz już wszystko będzie inaczej – rzekła Anna siadając na pokrytym lepką mazią skórzanym fotelu i zakładając nogę na nogę. – Jutro przyjeżdża twoja mama. Cieszę się, że zobaczy, jakie ma kreatywne wnuki. – szepnęła z dumą w głosie.

– Dzieciaaaaaakiiii!!!! – zawył Marek zwierzęcym głosem.

– Taaaak? – wrzasnęło chóralnie pięcioro indiańskich uchodźców i z uśmiechem na ustach wpadło do salonu wydając przy tym bojowe okrzyki.

– Do sprzątnania! Natychmiast! I... bez dyskusji! – ryknął ojciec łypiąc groźnie na swoje latorośle.

– Mamusiu – pisnął Jasio cichutko zbliżając się do Anny. – Co się stało tatusiowi? Jest jakiś inny.

– Nie wiem, kochanie – odparła z uśmiechem kobieta i wzdychając zaczęła piłować paznokcie.

Brawurowe sceny z życia rodzinnego, w których każdy z nas codziennie bierze udział. W rolach głównych: mama, tata, dzieciaki i szczeniak Pitagoras, a na drugim planie mityczna postać teściowej. Osią konfliktu jest nowy podział domowych obowiązków, ustalany bynajmniej nie drogą pokojowych negocjacji, lecz emocjonalnego szantażu. Opowiadanie uwodzi dynamiką sytuacji i dialogów – nie sposób się w trakcie jego lektury nudzić, nie sposób też się nie uśmiechnąć. Zmysł obserwacji rzeczywistości idzie tu w parze z talentem do jej opisu.



Nagroda za opowiadanie

w grupie wiekowej 13-15 lat

PAULINA TYC

Z PAWELI MAŁEJ, 15 LAT

NIEWYGODNE PYTANIE

Witają się ciepło, nie zważając na białe ściany otaczające ich ze wszystkich stron, na temat, który mają poruszyć. Ujmuje w dłoń czarny marker i pyta, gdzie leży problem. Nie leży – siedzi tuż obok, na krześle. Widzi pan? Faktycznie, gdy to mówi on dostrzega, w czym rzecz. Nagle troska matki wydaje się zrozumiała, a świat – okrutniejszy niż jeszcze przed chwilą. Spogląda na córkę; doprawdy okrutny przypadek. Taka młoda – z drugiej strony bardzo dobrze, w przyszłości będzie patrzyła na to jak na niepewny sen.

– Zbyt się wyróżnia – odrywa w końcu dłoń od ust i marszczy brwi. Dziewczyna spogląda na niego skośnymi oczami. Z dezaprobatą zerka na matkę. Jak można być tak nieodpowiedzialnym i związać się w tych czasach z Koreańczykiem ze zwykłej miłości. Doprawdy, dziwi się ludzkiej głupocie. Chociaż... nie. Człowiek niczym go już nie zaskoczy. – Konieczna operacja.

– To oczywiste – wybucha matka, kompletnie nie podobna do córki. Zastanawia się, ile zabiegów ma już za sobą; ile koniecznych a ile wykonanych z własnej woli, by jeszcze bardziej upodobnić się do innych. – Ale czego? Co konkretnie musi ulec zmianie?

Milczy przez chwilę, uważnie lustrując ośmiolatkę. Jasna skóra, zbyt delikatna i świeża, pozbawiona jakichkolwiek niedociągnięć przez naturę. Szatynka, o długich, zdrowych włosach. I do tego te oczy. To one martwią go najbardziej. Trudno je będzie skorygować.

– Wszystko – wzdycha ciężko. To jednak nie sprawia, że czuje się lżej. – Piękna. Zbyt piękna. Wie pani, jak to wygląda. Człowiek ją widzi i myśli „Zysk, zysk, kurtka, peruka”. Przeszczep włosów... albo nie. Zwykłe rozjaśnianie. Lub całkowite usunięcie. Włożymy ją także do solarium, ale wie pani, że nie da to trwałych efektów. Będzie trzeba przychodzić co kilka tygodni, by utrzymać pozory. To łączy się z ryzykiem. Białe jest teraz modne. Rozumie pani. Jeśli ma przetrwać w dzisiejszym świecie, musi być zniszczona i brzydka. Wtedy nikt jej

nie złapie – dodaje ciszej. Nie chce odpowiadać na jej pytania: udzielać odpowiedzi, które są przecież oczywiste. Przystaje zatem do robienia linii na twarzy dziewczynki.

Ach, te oczy. Z nimi będzie największy problem.

– Kiedyś było inaczej – stwierdza kobieta, wpatrzona w brudną podłogę gabinetu. Jest dziś pierwszą klientką, i pewnie też ostatnią. Człowiek potrzebuje czasu, by dojrzeć do takiej decyzji i przyjąć. Wszystko zależy od natężenia strachu we krwi, spowodowanego spragnionymi spojrzeniami ludzi spotkanych na ulicy.

Nie patrzy, jak czarnym markerem kreśli kształty na twarzy córki.

– Kiedyś?

– Tak, za czasów przed tym projektantem. Przed Christopherem – unosi na niego przekrwawione oczy. Zwykłe imię, znane bardziej niż *Hitler*. W końcu on to już odległa przeszłość. Zerka na nią nieumyślnie, jakby zły, że ta, jako kolejna, drażni ten sam temat, jak wszyscy od blisko dziesięciu lat. Powoli zaczyna go to męczyć. To ciągłe rozpatrywanie nieczułej rzeczywistości. Jakby samo jej istnienie nie było już uciążliwe. – Ludzie się zmienili.

– To nie ludzie. Oni zawsze tacy byli. Zawsze znudzeni, brutalni... Pamięta, oczywiście, że pamięta. Po co pyta? Każdy w pamięci ma tamten rok. Ten dzień, moment, w którym to się zaczęło. Głupie pytanie. Głupi temat. Naprawdę go to drażni. Lecz o czym innym tu rozmawiać? To jak cicha wojna: istnieje w umysłach wszystkich – żywych i martwych, choć ci drudzy mają o tyle lepiej, że nie myślą, nie czują. Ich ciało faktycznie jest zwykłą skorupą, rzeczą, którą można traktować przedmiotowo. Ci, którzy nie mają odwagi pozbawić się oddechu pozwalają, by robili to inni. To naprawdę nieprzyjemny temat. Może lepiej unikać go przy dziecku...

– To nieludzkie – śmieje się w końcu, z niedowierzaniem. Bawią go te słowa. Ostatnio zrozumiał, w końcu przyznał przed samym sobą, że jest zgoła inaczej.

– Wręcz przeciwnie – lekarz odrywa długopis od skóry córki, by raz jeszcze spojrzeć na matkę. Nie jest pewny, czy oszpeci dziewczynkę równie mocno, co kobieta samą siebie. – Okrucieństwo jest najbardziej człowieczą cechą, z jaką przyszło się nam urodzić. Tak samo jak konsumpcjonizm.

Po tych słowach milkną. Otaczają się wymowną ciszą.

Umarł. Zabili go. Nie powinni, ale to zrobili. Po tylu latach sama władza złamała prawo, by po raz ostatni wykonać karę śmierci. Są sprzeczne ku temu komentarze. Niektórzy mówią, że to zbyt łagodny wyrok. Dożywocie jednak także wydawało się miłosiernym rozwiązaniem. Mówią, że zrobili to dlatego, by uspokoić ludzi, by pokazać im, że rząd nie popiera podobnych występów. Na początku wszyscy dali się na to nabrać – faktycznie użyto elektrycznego krzesła, winowajca – Christopher – zniknął z tego świata. Jednak, po dziesięciu latach wspomina się o tym żartobliwie. W międzyczasie w oczach ma się łzy. Przeważnie przerażenia.

Projektanta rozpamiętuje się w osobliwym tonie. O jego wcześniejszych projektach, tych licznych, kontrowersyjnych pokazach mody mówi się jedynie po to, by, pod kątem psychologicznym zrozumieć, kiedy to się zaczęło. Christopher był artystą jak wielu innych. Bogaty, niezrozumiały, szalony. Szalony bardziej, niż sądzili najbliżsi. Zastąpił dopiero pod koniec. Podczas ostatniego wybiegu.

– Miałam osiemnaście lat, gdy usłyszałam w telewizji o tym, co się wydarzyło – kontynuuję matowym głosem, oparta jednocześnie o ścianę, tuż obok solarium. W zamyśleniu przegląda się wystającej z maszyny dłoni córki. Wydaje się na nią patrzeć, lecz jej nie widzieć. – Zabrzmiało to złowrogo... Trochę jak informacja o katastrofie lotniczej, w której zginęło czterystu ludzi.

– Wówczas umarło jedynie ośmiu.

– Nie. Wcale nie- ożywia się na brzmienie jego głosu. – Oni już byli martwi, gdy to się wydarzyło.

Świat dowiedział się o tym z opóźnieniem. Telewizja nie transmituje pokazów mody, a jak już, to na konkretnych programach, do których zagląдают nieliczni. Nawet ci, którzy walczyli o miejsca najbliższe wybiegu nie zrozumieli od razu. Ani wtedy, gdy oczarowani krojem przyglądali się wszystkiemu z bezpiecznej odległości, ani wówczas, gdy między palcami sprawdzali jakość materiału. Taki przyjemny w dotyku. Do tego oryginalny w każdym stopniu. Christopher nic nie mówił. Jedynie wymieniał kurtki na pliki banknotów.

– Pamiętam, że była gładka. Nie śliska, ale też nie matowa. Po prostu gładka, z takimi małymi ciemnymi punktami gdzieniegdzie. Znajoma ją kupiła, była bogata, więc mogła... Przyszła w niej do pracy i się chwaliła – kobieta marszczy brwi, jakby sama nie wierząc we własne słowa. Unosi pełen niedowierzania wzrok na lekarza, samym spojrzeniem pyta, jak to możliwe. – Rozumie pan...?

– Rozumiem – odzywa się po dłuższej chwili. Oparty o stół spogląda na zegar, po czym na solarium, w którym leży dziewczynka. Minęła godzina. To wciąż za mało. – Podobne rzeczy robiono kiedyś na zwierzętach.

– Jakim prawem porównuje pan te dwa incydenty? – w jej głosie nie brak zdziwienia, który wydaje się być wiecznie przyklejony to jej krtani. Spogląda na lekarza, jakby zawiedziona jego sposobem myślenia. – To barbarzyństwo. Człowiek nie robi takich rzeczy drugiemu człowiekowi.

– Ma pani rację – przyznaje dla świętego spokoju. Podchodzi do maszyny, zniecierpliwiony powolnym upływem czasu. Unosi wieko do góry. – Krzywdzić można tylko odmiennych.

Udaje, że nie widzi drugiego dna jego słów.

– Kupiłby ją pan? – pyta, gdy w końcu staje nad maszyną. W niej, nic nie świadoma ośmiolatka próbuje zrozumieć jej wrogi wyraz twarzy.

– Tak – musi to powiedzieć, nie tylko po to, by zrobić przykrość tej prostackiej kobiecie. – Wciąż jest piękna – wyznaje. – I oryginalna bardziej niż przedtem.

– Musi pan coś z tym zrobić. Zapłaciłam panu. Sprzedałam własną nerkę, by zdobyć pieniądze na ten zabieg.

– Oczywiście.

Mocno zaciska usta, by nie powiedzieć nic więcej.

Solarium to alternatywne rozwiązanie, tak naprawdę nie dało żadnych efektów. Nie miał serca zostawiać dziewczynki dłużej w maszynie – nawet nie wspomniał o tym na głos, gdyż wiedział, że matka momentalnie by sobie tego zażyczyła, nie dopytując się nawet o konsekwencje własnej decyzji. Pozwala ośmiolatce wyjść i stanąć w cieniu słabo oświetlonej sali. Wpatruje się w nią intensywnie, jednocześnie próbuje zrozumieć, dlaczego musi ją niszczyć. No tak.

Dla jej własnego dobra.

Dlatego przystaje do kolejnego punktu na liście, śledzony jednocześnie przez spojrzenie miłosiernej matki. Ona wcale nie jest zła, naprawdę tak sądzi. To nie jej wina. Po prostu zsyła na córkę los podobny do tego, który sama miała. Który nawet lekarz poczuł na własnej skórze.

Drży, więc podaje jej znieczulenie. Gdy ujmuje w dłoni szczupłe ramię, spogląda jej w oczy, jakby chcąc w ten sposób dodać otuchy. Ta cicho woła mamę, teraz naprawdę przejęta tym, co wokół niej się dzieje. Spokojnie, to tylko igła. Nie ona zrobi ci krzywdę.

– Co pan zamierza zrobić?- podchodzi bliżej, nieufna bardziej niż przedtem. Na jej głos puszcza rękę dziecka po czym podnosi z półki elektryczną igłę z tuszem.

Nie rozumie, skąd to pytanie.

– Chcę ją wytatuować – oznajmia. Przecież to oczywiste. Ta jednak wydaje się tego nie rozumieć.

– Oszalał pan? – pyta wprost. Swoim spojrzeniem nawet nie próbuje ukryć tego, co o nim myśli. Nie po to poświęciła własną nerkę, by w zamian dostać coś takiego. Oстанią córkę własnym ciałem. Szarpie ją przy tym za ramię, czego ona nie czuje. Otumaniona, spogląda na zniszczoną dłoń matki. Na jej mocne palce.

– Nie przyszłam jej tutaj *upiększać*, a pan wydaje się cały czas to robić, wbrew temu, co mówię. Wytatuować? Może jeszcze całe ciało, by wyróżniała się z tłumu! Człowiek widzi ją i myśli, że to uroczy kolor, a to już pierwszy krok ku... ku...

– Tak, ma pani rację – z opanowaniem wyłącza igłę i kładzie ją na metalowym stole. Długo nie patrzy w jej stronę: po prostu siedzi, wyprostowany na twardym krześle. Z westchnieniem unosi oczy na klientkę. – Czego zatem pani ode mnie oczekuje?

Jej zniszczona twarz, jakby umazana węglem. Wyblakły kolor czerni naznaczony bruzdami, których on, sam lekarz, nie wie, do czego przypisać. Kobieta milczy, zaciskając to, co niegdyś było wargami. Niepotrzebny zabieg. Przecież tu chodzi tylko o skórę.

– Chcę, by ją pan zniszczył. Chcę, by stała się niechcianym potworem jeśli wie pan, co mam na myśli – zdradza ją niekontrolowany ruch powiek. Długo nie odrywają od siebie wzroku.

Oczywiście. Oczywiście, że rozumie.

Zorientowali się po pewnym czasie, podczas którego projekty wykupiono. Cieszyły się powodzeniem, tak samo jak Christopher, który z każdym kolejnym dniem coraz bardziej tonął w pieniądzech. Zysk, zysk. Zysk i szaleństwo. Obie te rzeczy dopełniają się i nawzajem tworzą zaburzenie.

Stał się *autorytetem*. Po pewnym czasie przestała być ważna liczba tych, którzy wzdrygali się po usłyszeniu prawdy, tych, którzy na wieść o tym naprawdę niedowierzali, których ciało

drżało, jednocześnie ubrane w skórzane kurtki. Pomimo tego, ci właśnie krzydzeli najbardziej. Nie, to nieludzkie, to irracjonalne. Człowiek tak nie postępuje. To *nienaturalne*. Mówili tak w telewizji, darli gardło, by powiedzieć to jeszcze głośniej pod okiem ławy przysięgłych.

Szacunek dla zmarłych, przypominali. Szacunek dla osób żywych i martwych. Nie, tu nie chodzi o religię, proszę państwa. Tu chodzi o fakt, że trup kiedyś tętnił życiem. Nikt nie ma prawa ich okradać. A zwłaszcza w taki sposób.

Nie było dyskusji. Tylko egzekucja.

Śmierć bez pogrzebu, bez żałobnych. Ci kryli się w willach, gładząc kurtki między palcami.

– Sprawa ucichła, ale tylko na parę miesięcy, zauważył pan? Dokładnie cztery, bo pięć to za dużo. Po tym czasie...

To cicha wojna. *Fakt* ukryty pod płachtą niechęci do jego przyswojenia. Osobliwy trend, który przypadł do gustu ludzi spragnionych kontrowersji. Tak, granice się zatartyły. Twórczość to synonim szaleństwa.

Bronili się, mieli argumenty. Co to za różnica?, pytali. Ludzka czy zwierzęca... wszyscy jesteśmy tacy sami. Nie rozumieli, dlaczego inni chcą z tym walczyć, dlaczego zamykają kostnice i chronią ciała zmarłych, rzeczy zbytecznych, teraz mogących wejść w recykling. Zresztą, nie chcieli się poddać. Do dziś się nie poddali.

Ludzie moralni pozbawili ich dostępu, więc sami o niego zadbali. Łapanki, łapanki. Historia zatacza koło, człowiek znowu ignoruje błędy przeszłości.

Tym razem jest zadowolona. Nie drży ze strachu, a nawet odważyła się na to, by przerwać panującą wokół nich ciszę. Wpatrzona w pokryte smugami lustro mówi, że koleżanka ma podobną fryzurę. Jej osobiście bardzo podoba się styl przyjaciółki – tylko inni patrzą na nią krzywo...

Ale jej samej to nie przeszkadza. Córka klientki zapewnia, że dla niej to bez różnicy. Zawsze chciała wiedzieć, jakie to uczucie. A teraz, czuje się taka lekka na głowie. Przyjemny chłód bije ją w nagą czaszkę.

Mimo wszystko pyta, czy walające się po ziemi włosy będzie mogła wziąć do domu. Lekarz nie widzi żadnych przeszkód. Nawet dobrze, że pyta, sam chciał jej to zaproponować. Jeśli je weźmie, nie będzie go kusić, by sprzedać je na czarnym rynku. Nie popiera podobnych rzeczy, ale ostatnio marzy mu się nowy samochód...

– I po co pan to zrobił? – w przeciwieństwie do córki wcale się nie uśmiecha. Z palcem przyłożonym do ust lustruje dziecięce odbicie w lustrze. Ciekaw jest, co widzi. I dlaczego znowu ma do niego pretensje. Przecież on tylko wykonuje swoją pracę. – Dodatkowe miejsce do zniszczenia, jej skóra jest teraz bardziej odstonięta.

– Usunąłem włosy, bo były zdrowe i mocne – nie patrzy w jej stronę. Powoli ma dość jej widoku. – Każdy zwróciłby na nie uwagę. Zminimalizowałem niebezpieczeństwo, które ta ze sobą niesie.

– Zminimalizował pan? – prychna pobłaźliwie. Ze krzyżowanymi rękoma podchodzi bliżej miejsca, w którym ten stoi. – Zabiegi trwają już dwie godziny, a ja nie widzę żadnych efektów... Wie pan, co stało się ze wszystkimi modelkami na świecie? Chyba nie muszę przytaczać panu tego ciągu liczb, który pojawił się pewnego wieczoru w telewizji. To nie był numer telefonu, proszę pana. To liczba ofiar po dziesięciu latach walki z...

– Nic nie poradzę na to, że córka jest piękna – wzdycha, patrząc twardo w jej stronę. Dziewczynka łapie jego wymowne spojrzenie w lustrze i od razu przybiera przygnębiony wyraz twarzy, jakby wiedząc, że to ona ponosi za to wszystko winę... – Każdy człowiek jest na swój sposób piękny. To zależy od tego, kto ocenia. Nigdy nie usunie się niebezpieczeństwa do zera. Musi pani wiedzieć, że nawet w chwili, gdy córka opuści mój gabinet, nie będzie w stu procentach odcięta od zagrożeń...

– Więc po co to wszystko? – nie wytrzymuje. Śmieje się mu w twarz, lecz w jej głosie nie ma rozbawienia. – Spójrz – nagle chwyta za twarz córki, którą gwałtownie odwraca w jego stronę. W oczach dziecka widać ból i pewnego rodzaju zmęczenie, jakby myślało „znowu to samo, a obiecała... znowu będę mieć posiniaczoną twarz”. Lekarz usiłuje zaprotestować, lecz napotkawszy spojrzenie klientki, ustępuje. Staje z boku, bezsilny wobec tego, co wokół niego się dzieje. – Ta twarz to przekleństwo. Te oczy to fatum. Skóra... skórę sam pan widział!

Widział. Pośród piegów osadzonych na mlecznej ścianie widział siniaki i liczne zdrapania, których nie skomentował nawet wtedy, gdy powinien. Rozumie strach matki, lecz ta popada w obłąd.

– Cokolwiek pan zrobi, nadal będzie się wyróżniać z tłumu – warczy. Jej chude palce zaciskają się na policzkach córki, aż ta wypluwa język. Dziecko drży, lecz nie ośmiela się poruszyć. Dopiero wtedy, gdy mocna dłoń matki luzuje uścisk, dziewczynka wycofuje się stanowczo do tyłu. Staje w kącie. W oczach ma łzy. – Władza nic nie robi w tej sprawie. Udaje, że problemu nie ma, że wszystko jest jak dawniej. Nie wchodzi na czarny rynek, gdzie

człowiek handluje człowiekiem! Co my, zwykli ludzie, możemy zrobić, skoro nawet *oni* nie są w stanie powstrzymać tego szaleństwa?!

Wymownie spogląda w jej stronę, lecz zbyt krótko, by ta mogła cokolwiek zrozumieć. Kryje w sobie niechęć, którą poczuł po raz pierwszy w chwili, gdy ta weszła do jego gabinetu. Wzdycha, jednocześnie zaciskając usta. W głębi serca drażnią go jej pretensje do świata, jej podniosły, egocentryczny ton, jakby sama pośród wszystkich ludzi była tą najmniej winną.

– Postawię wodę na kawę – mówi zatem lekko, na co jej opada pierś. – Wygląda pani na osobę, która dawno nie spała. Z mlekiem czy bez?

Długo nie odpowiada.

Sojowym, jeśli to możliwe.

Pozostawia ją samą, pochyloną nad włączonym czajnikiem, z którego bucha gorąca para. Ona jednak wydaje się jej nie czuć. Wycofuje się cicho, miękkim krokiem zawraca, by powrócić do gabinetu. Tam, na obrotowym krześle siedzi dziewczynka. Zatrzymuje się w progu, niewidoczny dla smutnej pary oczu. Jest taka mała, stwierdza w końcu. Nawet nie dotyka stopami ziemi.

Skrzypiące drzwi zwracają jej uwagę, odwraca się zatem twarzą do mężczyzny, który powoli zajmuje miejsce naprzeciw niej. Składa dłonie na udach, dziwnie sztywny, skrepowany jej jasnym, dziwnie mądrym, a zarazem pustym wzrokiem. Siedzą naprzeciw siebie, w milczeniu. W końcu lekarz nie wytrzymuje i uśmiecha się delikatnie.

– Koleżankom z klasy na pewno spodoba się twoja fryzura.

– Wątpię – odzywa się nieśmiało, pobłażliwie. – Nie mam koleżanek.

– Na pewno masz- zapewnia ją. – Na przykład dziewczynka, z którą siedzisz w ławce.

– Z nikim nie siedzę w ławce – mamrocze, nagle skrepowana jego pytaniem. Nawija na dłonie wyciągnięty sweter tylko po to, by zająć czymś dłonie. – Nie chodzę do szkoły.

– Nie? – pyta wciąż tym samym, lekkim tonem.

– Nie – powtarza. Milczy przez chwilę. – Mama sama uczy mnie w domu. W pokoju, na piętrze. Nigdy nie byłam w szkole. Mama mówi, że to niebezpieczne miejsce...

Mógł się domyślić, a pomimo tego czuje, jak upada na duchu, smutny, czy też zawiedziony tym, co usłyszał od ośmioletniej dziewczynki. Ta wykonuje ruch, jakby chcąc zaczesać włosy za uszy. Pustka. Bada dłońmi gładką głowę.

– Ale... ta twoja koleżanka, ta, która ma identyczną fryzurę jak ty – zdobywa się na uśmiech. Ta odpowiada mu tym samym. Nie wie, kogo ten gest kosztował więcej.

– Tak, ona jest fajna – rozpromienia się na moment. – Ale nie widziałam jej od bardzo dawna.

– Może ma dużo zadań domowych i nie ma czasu wyjść pobawić się z tobą na dworze. Nie powinnaś się tym przejmować.

– Nie... – uśmiecha się, lecz tylko ciałem. Jej oczy spowija ciężki, nabrzmiały emocjami cień. – Ona zniknęła...

I choć ta nie patrzy już w jego stronę, choć udaje, że wygrzebuje brud spod paznokci, on nie jest w stanie oderwać od niej oczu. Nie jest w stanie ukryć tego, co czuje – zdradzają go mocno zmarszczone brwi, spod których patrzy na czarne linie narysowane na przygaszonej, zmęczonej twarzy dziecka. Nie wie, kiedy to się zaczęło, kiedy *naprawdę* był tego początek. Chyba ciągle było obecne, tylko pod różnymi formami. Za czyjej władzy? Ta przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie, gdy miejsce poprzednika zajmował człowiek o identycznych poglądach. Nic nie uległo zmianie, gorsze lata z perspektywy czasu wydawały się właśnie tymi „lepszymi”. Nie było postępu. Tylko zwykła walka o pieniądze.

Zysk zysk. Ona nie może stać się jego kolejną ofiarą.

– Muszę zrobić ci parę zastrzyków, po których twoja skóra będzie pomarszczona – odzywa się, nagle pewny tego, co musi nastąpić.

– Pomarszczona? – słyszy w odpowiedzi. Dziewczynka wstaje i odchodzi w stronę drzwi jakby chcąc uciec przed tym, do czego lekarz usiłuje ją zmusić. Ufała mu, a ten...

To konieczne, próbuje jej uświadomić. Konieczne *dlatego* (dzieci ciągle zadają niewygodne pytania, do których dorośli przywykli już nie szukać odpowiedzi). *Dlatego* mam cierpieć?, pytają jej oczy.

– To będzie twoja tarcza – wykrztusza z obrzydzeniem do samego siebie. Nie może z tego zrezygnować. Jeśli chce jej pomóc, najpierw musi ją skrzywdzić.

– Tarcza przed kim? – wydusza jej drżący głos. Przed złymi ludźmi, chce powiedzieć.

Powstrzymuje go obraz klientki wychylającej się zza uchylonych drzwi. Powstrzymuje go jej przekrwawiony wzrok oraz garnek, znad którego unoszą się obłoki pary. Nim cokolwiek zrozumie, dostrzega na jej twarzy krople potu.

Nim zdąży wstać i przewrócić krzesło, kobieta przechyla parujące naczynie nad głową córki.

Ta odwraca się ku niej twarzą.

To mniejsze zło, wydają się mówić oczy miłosiernej matki.

Niezwykła opowieść o niezwykłym klimacie. Bohaterem jest kobiece ciało, którego oszpeccenie jest szansą na przetrwanie. Autorka mistrzowsko operuje techniką niedopowiedzenia, a fundamentem fabuły jest umiejętnie dozowana aluzja. To ona wytwarza nastrój grozy, który konsekwentnie towarzyszy narracji. Czytelnik boi się, choć nie do końca wie czego. Anonimowe postacie, nieznaną czas i miejsce akcji są źródłem zarówno emocjonalnego dyskomfortu odbiorcy, jak i ponadczasowości opowiadanej historii. Całość imponuje konsekwencją zarówno w planie treści, jak i formy.





Wyróżnienia

Wyróżnienie za wiersz

Dla

JUSTYNY SMAGAŁY

za wiersz

Między planetami,

za odwagę zmierzenia się z konwencją regularnego wiersza o miłości i śmierci.



JUSTYNA SMAGAŁA

Z MIECHOWA, 17 LAT

M

MIĘDZY PLANETAMI

Szkoda, że cię świat odrzucił
I tak szybko wnet odesłał
Najpierw cię stworzył z miłości,
Jednak później kochać przestał

Mam nadzieję, że wciąż jesteś
Gdzieś pomiędzy planetami
I że nie odczuwasz bólu,
Już nie zmagasz się ze łzami

Tu na dole, po staremu,
Chociaż pustka czasem wierci
Ze mną chyba trochę gorzej,
Bo nie widzę nic, prócz śmierci

Tak jak twoich martwych powiek,
Obraz ten nie chce wyblaknąć
Przyznam, oczy miałaś piękne
Czemu Bóg musiał je zamknąć?



Wyróżnienie za opowiadanie

Dla

NATALII BERNACKIEJ

za opowiadanie

Zośka,

*w którym Autorka ujawnia swój talent do obserwowania codzienności i jej zamiany
w pełen dynamiki tekst.*



NATALIA BERNACKA

Z JASTRZĘBIA – ZDROJU, 10 LAT

Z OŚKA

MALOWANIE

Cześć jestem Zośka i nie uwierzycie dziś rano obudziła mnie mama (a ja tak kocham spać) i powiedziała, że po obiedzie pójdzie z tatą do piwnicy.

– A po co? – spytałam ospała.

– Musimy odmalować ściany i drzwi – odpowiedziała mama. – A teraz chodź na śniadanie.

Piwnica była faktycznie do odmalowania. Z drzwi sypała się stara farba, ściany były brudne i pełne pajęczyn, a inne drzwi były piękne i odmalowane na pomarańczowo i żółto. Ostatnim razem byłam w piwnicy 11 miesięcy temu, kiedy wyciągaliśmy ozdoby na choinkę.

– Mamo, ja też chcę! Też idę! Chcę malować piwnicę! – krzyknęłam.

– Zosiu, nie wiem, czy tata się zgodzi. Naprawdę chcesz siedzieć w tej ruderze przez godzinę córeczko?

– Nie będę tam siedziała! – odparłam. – Będę malowała drzwi!

– O nie, nie, nie, nie, nie!! Zostaniesz tutaj, grzecznie się pobawisz i teraz zjesz naleśniki. – powiedziała stanowczo mama. No to się rozplakałam, no bo niby dlaczego oni mają się świetnie bawić, malując drzwi na super kolor, a ona miała siedzieć w domu i się nudzić.

– Króliczku, dobrze. Pójdiesz z nami do piwnicy i pomalujesz kawałeczek drzwi.

– Juuuuuuuuu!!!! – pobiegłam na dół do stołu i zjadłam 3 naleśniki.

– Tato, będę malowała z wami drzwi w piwnicy!

– Tak? Brawo, córeczko! Chciałbym mieć malarza w rodzinie. Wiesz, ile forsy zarabiają?!

Nie odpowiedziałam, bo nie wiedziałam. Byłam tak podekscytowana, że pomaluję drzwi. Była 10 rano. Za 4 godziny będzie obiad. Czyli za 5 wielkie malowanie! Siedziałam na żółtym fotelu i czytałam komiks o smerfach. Po godzinie mi się znudziło, bo czytanie nie jest takie

fajne. Chciałam wyjść na skwer z dziewczynami, ale po pierwsze; padało, po drugie; byłam przeziębiona, po trzecie; Magda, Jola, Dorota są na obozie.

Postanowiłam pobawić się w swoim pokoju klockami od babci. Zbudowałam kolorowy zamek i wyciągnęłam zabawkową królową, której odpadała głowa. Bawiłam się super. Tak mnie wciągnęło budowanie, że nawet nie zauważyłam, kiedy minęły 2 godziny. Nagle mama zawołała:

– Obiaaaaad! Do stołu!

Poleciałam na dół i zobaczyłam, że są pierogi ruskie! Moje ulubione! Kiedyś zjadłam 14! Tata najwięcej to 31, a mama 19. Tym razem zmieściło mi się 9...

– To jak?!?! Idziemy do piwnicy????!! – wrzasnęłam.

– Dobrze Zosiu. – tata i mama wstali od stołu. Poszli wyjąć jeszcze nieotworzone pudełko z pomarańczową farbą. Zeszliśmy po schodach na sam dół. Mama zapaliła światło. Trzy gołe żarówki oświetliły bury korytarz. Piwnica była duża. Dopiero teraz zauważyłam, że w tym bloku mieszka mnóstwo ludzi. Miała ze sto korytarzy. Wszędzie były położone na podłodze malusieńkie papierowe talerzyki z pomarańczowym CZYMŚ w folii z czarnymi napisami.

– Co to? – spytałam.

– To są truciki przeciw szczurom i myszom – odparła mama. Wreszcie skręciliśmy w odpowiednią alejkę, trzecie drzwi od prawej były nasze. Tata otworzył farbę, mama otworzyła drzwi, a ja przejechałam po nich palcem. Zahaczyłam o drzazgę i poleciała mi krew, ale mama zwinęła w chusteczkę i nie bolało.

– Odejdźcie za ścianę! Wyciągnę fotelik, zasłania połowę drzwi! Odeszliśmy za ścianę z mamą i usłyszeliśmy głośne:

– Aaaaach.....!!!! Kurczę... – reszty nie słyszałam, bo mama zatkała mi uszy. I dobrze, bo tata mówił brzydkie słowa. Gdy weszliśmy w naszą alejkę, zobaczyliśmy tatę, który siedział na podłodze, miał całą prawą nogawkę z pomarańczowej farby, fotelik był CAŁY z pomarańczowej farby, twarz taty była trochę z farby i podłoga była z farby. Jedyne co nie było z farby, to drzwi.

MOJE URODZINY

Taaaak!! To był dzień, który pojawia się raz w roku! Czyli.... URODZINY!! I to nie było jakie... BO MOJE!!! Ubrałam białą sukienkę, (nie cierpię sukienek) białe rajstopy (jeszcze

gorzej) i zrobiłam sobie dwa warkoczyki. Mam złote włosy do ramion. Mama ma czarne włosy dłuższe niż ja i założyła czerwoną sukienkę do kolan. Tata jak zwykle ubrał garnitur. Pierwsi przyszli dziadkowie. Mieli 2 wielkie torebki i kwiaty. Podziękowałam i zajrzałam do torby. To była gra. Taka jaką chciałam! W drugiej były ciuchy... Po 10 minutach przyszła moja ciocia Miranda, wujek Robert i 4-letni kuzynek Jasiek. Jak zwykle spóźniona przyszła kolejna ciocia, ale tylko ciocia. Torby postawiłam w rogu pokoju. Było ich siedem! Na stole był biały elegancki obrus, pełno misek, talerzy i półmisek. Mama jest naprawdę super! Usiedliśmy do stołu, oprócz Jaśka, który bawił się swoim żółtym samochodzikiem.

– Jasiu, chodź! Jest twoja ulubiona sałatka brokułowa! Zjedz trochę – powiedziała ciocia Miranda. Jasiek posłusznie wstał, ale zostawił swój żółty samochodzik na środku pokoju.

– Synkuu... ile razy mamy ci mówić, żebyś nie zostawiał zabawek na środku pokoju...?

– Oj, przestań Robert! Niech trzyma ten śliczny samochodzik gdzie chce!

– Ale Sabina... – (to imię mojej mamy) powiedział wujek.

– Przestań. A teraz wszyscy siadamy i jemy.

Jaś usiadł obok cioci i zaczął jeść rosół. Potem było spaghetti. Było pyszne! Mama znowu zrobiła je z sosem pomidorowym firmy „Pomidorowy ogród”. Uwielbiam spaghetti bez mięsa!

– Pora na tort! – zawołała mama, która wcześniej poszła do kuchni.

– Patrykuuu... pomóż mi zanieść tort! – krzyknęła mama. Tata wstał i poszedł do kuchni. Ja za nim. Byłam ciekawa, jak wygląda tort. Był biały. Miał czekoladowy napis „8 URODZINKI ZOSI, 100 LAT!!!”, dookoła pełno różowych i fioletowych lukrowanych różyczek i 2 samochodziki, również z lukru. Jeden czerwony, jeden żółty. Pewnie jeden był dla mnie i drugi dla Jasia. Mama znalazła 8 świeczek. Idealnie! Były różnych kolorów, czerwone, niebieskie, żółte, zielone i fioletowe. Powtykałam je dookoła napisu. Pobiegłam do salonu i stanęłam na krześle. Mama zrobiła to samo, tyle że wyciągnęła aparat fotograficzny i zrobiła mi zdjęcie. Tata stanął w progu i szeroko się uśmiechnął. Nagle... BACH! ZIUUU!

– Achhhh!!!! Nie mogę!! – krzyknął tata. Zauważyliśmy, że tort był na twarzy taty, na podłodze i na nowym ekskluzywnym szaro-białym dywanie. Okazało się, że tata potknął się o żółty samochodzik Jaśka.

ZAKUPY

– Patryku! Dziś pójdziesz z Zosią do sklepu. Kupisz mi pół kilo krówek! Idźcie już.

Tata oderwał się od czytania gazety, wstał i ubrał buty i kurtkę. Ja zrobiłam to samo, tylko oderwałam się od bajki w telewizorze. Ubrałam kurtkę zimową, kozaki, szalik i różową czapkę z pomponem. Wyszliśmy. Tata powiedział:

– Ale ta pogoda brzydka...

– Tak. Jest listopad. – odpowiedziałam. Weszliśmy do dużego sklepu, który był supermarketem. Było tam mnóstwo półek i ludzi. Sprzedawczynie w zielonych fartuchach z napisami: „SUPER MARKET”, białych (jakby) czepkach dyszały ze zmęczenia. Poszliśmy do działu z warzywami i owocami.

– Zrobimy mamie pyszną sałatkę! Leć po herbatę. Tę co zawsze! Czekam tu. – powiedział.

Pobiegłam po żółty kartonik z malusieńkimi czarnymi literkami i malinami na środku. Wsadziłam ją do wózka. Tata zastanawiał się nad marchewką i ogórkiem do sałatki.

– Weź marchewkę – dodałam. Tata posłuchał.

– Idź po mąkę. Zrobimy babeczki czekoladowe. Będę na nabiale.

– Dobra – poleciałam po mąkę „Ziarenko” tę, której używamy do wszystkich ciast. Tata brał jajka „O, kurka!”.

– Tato! Kupmy cukierki krówki! Mam na nie ochotę!

– Nie teraz! Myślę, co mieliśmy kupić mamie!!

– Proszę... chcę krówki!

– NIE! Wiem! To coś z artykułów mięsnych!

Pobiegliśmy kilka półek dalej.

– Hmm... obiad też kupimy... Poproszę ten karczek! – tata pokazał największy karczek jaki był. – I szynkę drobiową 12 plasterków.

Pani w zielonym fartuszkę wyjęła karczek i wsadziła go do woreczka. Pokroiła szynkę i wsadziła ją do woreczka z karczkiem.

– Dwanaś... aaaaa... – ziewnęła. – Dwanaście dziewięćdziesiąt osiem...

Tata włożył worek do żółtej reklamówki i poszedł na dział z cukierkami.

– Tato...weźmy krówki! O nie mama prosiła!!! – wrzasnęłam.

– Mama nie cierpi krówek! Uwierz mi. Znam ją lepiej od ciebie, a teraz weź 500 gram ciasteczek „miniaczki”.

– Ale to były kr...

– Zosiu – tata mi przerwał. – NIE! TO NIE BYŁY KRÓWKI DAJ SPOKÓJ! IDZIEMY DO KASY I DOMU! – chyba zbyt się uniósł. Nie było mi smutno. Ale byłam pewna, że to krówki...

Podeszliśmy do pani z czarnym warkoczem, która się mocno szczyrzyła.

– 24 złote 56 groszy. – powiedziała. Ale po kilku sekundach przestała się szczyrzyć, kiedy tata powiedział że nie ma złotówki... Gdy wsiadaliśmy do windy i jechaliśmy do domu, tata mnie przeprosił. Powiedział, że to przez stres, i że to na pewno nie były krówki. Pocałował mnie w czoło i oboje uśmiechnięci zapukaliśmy do drzwi. Mama też była bardzo uśmiechnięta.

– Nie mogę się doczekać krówek, które kupiliście! – powiedziała z szerokim uśmiechem. Tata zbladł.

MYJNIA

Wsiadliśmy do auta. Wycieraczka pod moimi nogami była cała z okruszków, kurzu i włosów. Mama i tata nie mieli lepiej; mieli głównie kurz, włosy i brązowe plamy. Kierownica i fotele były z kurzu, a obok mojego siedzenia mnóstwo plam czekoladowych i również okruszków.

– Musimy podjechać na myjnię! Nie wytrzymam w tym gruchocie! Tyle tu brudu! – powiedział tata, marszcząc czoło.

– Racja, Patryku... Auto jest wysypiskiem śmieci... Do sklepu pojedziemy później. Jadę na myjnię! – odpowiedziała mama. Zamiast skręcić na parking sklepu, skręciła w prawo. Na ulicę Mokrą. To na niej była myjnia. Była niebieska. Miała 3 wielkie przegrody na auta. Na dachu był pionowy napis:

MYJNIA 24h

Skręciliśmy w środkową przegrodę, z której właśnie wyjeżdżał pomarańczowy seat. Wsiadliśmy z auta. Mama wrzuciła monetę, ja wzięłam coś, co było podobne do pistoletu wodnego. Nacisnęłam pomarańczowy guzik i okrążyłam auto. Z urządzenia lała się piana. To było niesamowite uczucie! Piana spływała i na szybach było pusto; więc znów! Dookoła auta latać z tym czymś! Ale było super! Nawet niechcący umyłam tą pianą marynarkę taty, który miał z tego powodu skrzywione usta. Mama patrzyła ze zdumieniem, jak jej mała córeczka walczy z ciśnieniem piany. Gdy nagle z urządzenia przestała lecieć piana, mama mi

podawała kolejny pistolet na wodę i tym razem leciała z niego woda. Delikatnie. Nic się nie zmywało! Podeszła do mnie mama i powiedziała, że mam trzymać ten przycisk. Przytrzymałam. Jak trysnęło!!! Oblałam sobie nowe spodnie, głowę i całego tatę! Mama podbiegła wygoniła mnie do taty i zajęła się tym ciśnieniem.

– Ale narobiłaś Zosia... – powiedział tata.

– Oj tam, oj tam. – odparłam. Gdy mama skończyła, miała mokrą nową kurtkę i głowę.

– Pora na... po... A PSIIIIKK!! Na odkurzanie... – krzyknęła. Podjechała do grubego srebrnego słupa, w którym były 2 czarne rury, każda po innej stronie. My byliśmy po prawej. Tata wziął dziwny odkurzacz. Mama wepchnęła w dziurkę złotówkę, przycisnęła zielony guzik i tata mógł odkurzać. Ja za to wzięłam wycieraczki i trzaskałam nie o mniejszy słup. Taki w kratkę z dziurami. Mama mi wyjaśniła, że na tym słupie zatrzymuje się kurz. Gdy tata skończył auto lśniło. Srebrny lakier naszej skody raził po oczach. Wsiadliśmy do auta. Było czysto i żadnej okruszyny. Wyjęłam z torebki mamy chrupki orzechowe. 2 poleciały mi na wycieraczki. Niechcący w nie wdepnęłam... Nakruszyłam też na fotele. Kiedy mama i tata zobaczyli, co narobiłam wściekli się. Ja to nie rozumiem tych dorosłych! Po co myć i odkurzać auto, skoro i tak się nakruszy!

CHRZCINY

– Zosia! Jak się ubrałaś?! Dresy i bluza?! – krzyknęła mama.

– Przecież nie idziemy na żadne przyjęcie!

– Idziemy! Jedziemy do cici Gertrudy i wujka Antka na chrzciny małego Arturka! Ubieraj rajstopy i sukienkę! Wszystko masz na fotelu!

– Ale leci wielki maraton „Poduszek i koców”!! Ja zostaję!

Program polegał na wymienianiu się poduszkami i kocami. W odcinkach specjalnych, któraś osoba wygra zestaw poduszek i koców. Dziś były nowe odcinki!!

– Nie chcę! Jedźcie sami! Poza tym... to nie miało być za tydzień w niedzielę?!

– NIE! Ubieraj się i do samochodu!

– Idę do toalety! – pobiegłam do łazienki i zamknęłam się na kluczyk. Klucz schowałam głęboko do szafki z ręcznikami. Wyjęłam ten czerwony i wytarłam nim wannę. Wlazałam do niej.

– Zosiuuuuuu! Schodź już! Spóźnimy się!!

– Dobrze!! Tylko... – puściłam wodę i się obsunęłam. Trochę pomoczyłam nogawkę, ale co mi tam... – no wieceesz mamoo!

– Oł, myjesz ręce. Dobra! Czekamy w samochodzie.

TAK! Wyszłam z wanny i otworzyłam drzwi. Po cichu usiadłam na kanapie i włączyłam telewizor. Nic nie słyszałam, bo wyłączyłam głos, ale jak rodzice odjadą puszczą na ful!!! Ale nagle usłyszałam trzaśnięcie drzwiami i głos mamy:

– ZOŚKA! WYŁĄCZ MI TO NATYCHMIAST I DO SAMOCHODU!! JUŻ!!!!

Wiedziałam, że nie pora na dyskusje i pyskowanie, więc cicho powiedziałam:

– Mamusiu, jeszcze sekundka! Magdalena przedstawia uczestników! – troszkę podgłośniłam;

– Witamy w SPECJALNYM odcinku „Poduszki i koce”!!! To uczestnicy: Aleksan... – mama wyłączyła telewizor.

– JUŻ!! – wrzasnęła. Wstałam niechętnie i ubrałam kurtkę. Po chwili wyjechaliśmy. Nagle minęliśmy sklep z telewizorami. Na jednym leciały „Poduszki i koce”.

– STOP! – wrzasnęłam.

– JEZUS! CO SIĘ STAŁO?! – zawołała mama ostro hamując. Wysiadłam z auta, przykleiłam palce do szyby i przyglądałam się Magdalenie. Jednak mama i tata wciągnęli mnie do auta...

Gdy jechaliśmy laskiem zawołałam:

– Muszę do toalety!

– Nie ma nigdzie toalety! Nie mamy czasu! Będziemy spóźnieni! – powiedziała mama.

Widziałam, jak jej biała długa spódnica do kostek, plątała się i przeszkadzała w prowadzeniu.

– Bo dojdzie do nieszczęścia! – lamentowałam.

– Ech... – mama stanęła na poboczu i wskazała na toytoy. – Idź! Tylko szybko... – dodała.

Pobiegłam i zamknęłam się. Usiadłam na sedesie i wyjęłam komiks, który schowałam w kieszeni. Po chwili usłyszałam głos taty:

– Zosiuu! Chodź do auta!

– Zatrzasnęło się!

Tata pociągnął za klamkę.

– Faktycznie...

– Jedźcie beze mnie! Zobaczymy się za 4 dni.

– Nie! Hmm... MAM! Przejdź do drugiej ubikacji. Przeciśnij się pod ścianą.

Kurczę! Tata miał rację... przeszłam pod ścianą i z ponurą miną włąłam do auta. Dojechaliśmy do miasta Wołówko, gdzie mieszkała ciocia, wujek i Arturek. Mieszkali na ulicy Siennej, w białym domku bliźniaku. Ciocia miała blond włosy do ramion, koszulę nocną w rozgwiadzy, śpiącego Arturka na ramionach i pół przymknięte oczy.

– Cześć Trudzia! Gdzie Antek? – przywitała się mama.

– Aaaaa... – ziewnęła. – Śpi...

– A-ale... nie ma dzisiaj chrzcina!?

– Nie... Są za tydzień... Wejdźcie jak chcecie...

– Nie... wrócimy do domu... – wsiedliśmy do auta. Nie chciało odpalić. No więc zostaliśmy ten tydzień u cioci i wujka. Niestety nie mają telewizora...

Wyróżnienie za opowiadanie

Dla

WERONIKI SIBIGI

za opowiadanie

Nocna wyprawa,

w którym Autorka po mistrzowsku mierzy się z trudnym tematem opisu przyrody.



WERONIKA SIBIGA

Z TYCHÓW, 12 LAT

NOCNA WYPRAWA

...W niewielkim pokoiku na poddaszu szarego domku przy ulicy Skośnej rozległ się dźwięk budzika. Bartek przetarł zaspane oczy i przeciągnął się.

Była dopiero piąta rano, więc nie za bardzo chciało mu się wstawać i porzucać ciepłej kołderki, ale, jeżeli chciał zdążyć na klasową wycieczkę, nie mógł się dłużej ociągać.

W planach wycieczki było m.in. zwiedzanie Złotoryi, a potem biwak pod lasem, ognisko i, co najważniejsze, wieczorne opowieści o tajemniczych, niewytłumaczonych zjawiskach, które intrygowały go najbardziej. Gdy z dołu dobiegł go głos mamy wołającej na śniadanie, złapał plecak i zbiegł po schodach. Do plecaka oprócz wszystkich niezbędnych rzeczy do ubrania, mycia i jedzenia Bartek spakował również latarkę, jakiej używają grotolazi oraz specjalne mapy, miał bowiem swój własny pomysł na wycieczkę, który zamierzał zrealizować.

Plan polegał na tym, że w trakcie wieczornej biesiady przy ognisku uda się do pobliskiego lasu w poszukiwaniu wejścia do zagadkowego podziemnego tunelu. Miał tam czekać na niego Piotr, którego poznał podczas letnich wakacji spędzanych razem z rodzicami w okolicach Złotoryi. Chłopiec okazał się wybornym gawędziarzem, znawcą wielu legend, prawdziwych i nieprawdziwych historii o górnikach wydobywających złoto, o najazdach husytów, o życiu najstarszego miasta w Polsce. Zaimponował im nie tylko swoją wiedzą, ale również umiejętnością snucia fascynujących opowieści o wydarzeniach z rodzinnych stron. Zaszczepił w Bartku żyłkę poszukiwacza, tropiciela przygód, dzięki czemu całymi dniami wspólnie zawzięcie penetrowali okolice, organizując wyprawy w tzw. *nieznane*.

Podczas jednej z takich wypraw natknęli się na tajemniczy otwór, wydrążony w ziemi, zabezpieczony betonowymi okręgami, o średnicy mniej więcej dwóch metrów. Wspólnie przeprowadzili całkiem poważne historyczne śledztwo, którego efekt przeszedł ich najśmielsze oczekiwania. Dowiedzieli się bowiem, że odkryli wejście do tunelu zbudowanego przez niemieckich żołnierzy w czasie drugiej wojny światowej. Niestety, wakacje skończyły

się i o planach zgłębiania tajemnicy tunelu nie mogło być mowy. Przy pożegnaniu solennie sobie przyobiecali, że gdy tylko nadarzy się okazja, spotkają się po wakacjach i będą kontynuować *śledztwo*.

Właśnie nadarzyła się wyśmienita okazja. Wychowawca klasy Bartka, geograf z wykształcenia i życiowego zamiłowania, zapowiedział wycieczkę szlakiem poszukiwaczy złota, pierwszą atrakcją miał być pobyt w Złotorzy. Bartek, gdy tylko poznał program wycieczki, bezzwłocznie skontaktował się z Piotrkim i umówili się na tajne spotkanie przy Kruczych Skałach. Bartek doskonale znał drogę, latem przemierzali ją z Piotrem wielokrotnie. To właśnie tam odkryli tajemniczą jamę. Chłopcy liczyli na to, że pod osłoną nocy, wejdą do tunelu i znajdą jakieś interesujące pamiątki, przedmioty pochodzące z czasów II wojny światowej. Sądzi, że poszukiwaczy złota nie zainteresowało nic poza cennym kruszcem, więc może uda się odkryć coś ciekawego, zlekceważonego przez poprzednich poszukiwaczy. Tunel nie był odwiedzany zbyt chętnie, ponieważ jego konstrukcja była dosyć chwiejna, co mogło grozić zawaleniem. Z tego właśnie powodu nikt nie odważył się tam zapuszczać w obawie przed niebezpieczeństwem. Przyjaciele stwierdzili, że jeżeli zachowają dużą ostrożność i nie będą podejmować zbyt ryzykownych działań, to nic im nie grozi. O swoich planach, nie wtajemniczając jednak w szczegóły, Bartek poinformował swoich najbliższych przyjaciół z klasy, którzy mieli mu pomóc w tym, żeby nikt z opiekunów nie zorientował się, że opuścił obozowisko. Koledzy nie odmówili pomocy, ale zastrzegli, że w razie wpadki wyprą się wszystkiego. Bartek nie przyjął do wiadomości założenia o jakiegokolwiek wpadce.

Po zakończeniu zwiedzania urokliwego miasteczka klasa udała się do rozbitego i przygotowanego na ich przybycie obozu namiotowego. Ponieważ wszyscy byli trochę zmęczeni całodziennym zwiedzaniem i bardzo zgłodnieli, ochoczo zabrali się do rozpalania ogniska i przygotowywania wieczornego posiłku. Po upieczeniu smakowitych kiełbasek i zaspokojeniu głodu młodzież rozsiadła się wygodnie w pobliżu ogniska, aby pośpiewać przy dźwiękach gitary oraz posłuchać wieczornych opowieści. Bartek w tym samym czasie bezzwłocznie udał się do namiotu, aby spakować ekwipunek niezbędny do wyprawy i wymknął się cicho z obozu pogrążonego w mroku. Zanim wszedł do lasu obejrzał się jeszcze, czy nikt nie zauważył jego wyjścia, ale nic nie wydawało mu się podejrzane. Podążył zatem leśną ścieżką w kierunku, gdzie miało się znajdować wejście do tunelu. Spodziewał się, że zgodnie z umową będzie tam na niego czekać Piotr.

Dotarcie na miejsce zbiórki okazało się dla Bartka nietatwym zadaniem. Chłopiec długo kluczył po leśnych ścieżkach, latarka w leśnej gęstwinie bardziej mu utrudniała poszukiwanie ścieżyn, niż ułatwiała. Zgasił ją i korzystał z poświaty księżyca. W końcu dostrzegł majaczący w oddali świetlny punkt, domyślił się, że to Piotr, ruszył z impetem w jego stronę, i po kilku minutach znaczonych dotkliwymi uderzeniami w głowę o wszechobecne gałęzie drzew i upadkami na wystających śliskich korzeniach dobrnął do kolegi. Chłopcy w milczeniu podali sobie ręce, uśmiechnęli się zwycięsko pełni entuzjazmu weszli do środka. Rozglądali się zaciekawieni, byli tak podekscytowani, że na nic nie zważali. Chcieli jak najszybciej dotrzeć do końca długiego korytarza, żeby ocenić, czy mogą liczyć na jakieś ciekawe odkrycia. I nagle belka, o którą oparł się Piotr, runęła na ziemię z wielkim hukiem, pociągając za sobą resztę konstrukcji podpierającej sufit. W jednej chwili wszystko się zawaliło, tarasując wyjście z tunelu. Bartek jęknął z rozpacz, gdyż zdał sobie sprawę, że zostali uwięzieni. Chłopcy próbowali ruszyć zawalone rusztowanie, ale było to zadanie ponad ich siły. Byli tak zmęczeni i wyczerpani, że musieli się położyć. Długo walczyli z ogarniającym ich snem, ale przecież dzień rozpoczęli bardzo wcześnie, i trudy wprawy też nadwyrężyły ich chłopięce siły, nie wiedzieli kiedy zasnęli kamiennym snem.

Obudził ich jakiś hałas i wydawało im się też, że widzą jakieś światelko przebłyskujące poprzez zawalone belki. Zerwali się gwałtownie, żeby sprawdzić skąd wydobywa się dziwny poblask, zobaczyli, że w zawalonej konstrukcji znajduje się prześwit, którego w ciemności wcześniej nie zauważyli, a teraz nastał świt i na zewnątrz zrobiło się jasno. Otwór był na tyle duży, że mogli poprzez niego patrzeć na zewnątrz, ale nie na tyle, aby uwolnić się ze swojej pułapki.

A na zewnątrz słońce świeciło coraz jaśniej, lecz nagle, ni stąd ni zowąd na niebie zaczęły pojawiać się chmury, nie były to zwyczajne białe, nic niezwiastujące chmurki. W mgnieniu oka niebo zasnuło się czarnymi chmurami, które mogły zapowiadać tylko jedno – nadejście burzy. Wraz z owymi chmurami pojawił się przeraźliwy wiatr uginający drzewa, pod jego wpływem kolorowe liście zaczęły wirować jak szalone. Chłopcy ze swojej bezpiecznej podziemnej kryjówki obserwowali szaleństwo świata. Zwierzęta zdziwione tą nagłą i nieoczekiwaną zmianą powychodziły z ciekawości ze swoich kryjówek, wiatr mierzwił im futerka i wiał tak silnie w oczy, że musiały je zamykać w obawie przed naporem piachu, igliwia, gałązek, łodyżek, szyszek, ziarenek, nasionek, które nadlatywały ze wszystkich stron. Przez to też niewiele mogły zobaczyć z tego niepojętego dla nich zjawiska, jednak w obawie

przed nim powróciły szybko do swoich nerek. Dostownie chwilę potem z gęstych chmur lunął deszcz, i nie był to delikatny i nikomu nieszkodzący deszczyk, zerwała się bowiem prawdziwa ulewa. Strugi wody lejącej się z góry zaczęły spadać na ziemię z nieprawdopodobną siłą uderzenia i w tak ogromnych ilościach, że na ziemi tworzyły się szybko czarne kałuże, w których przeglądały się złowieszcze konary drzew. W wielu miejscach można było dostrzec malutkie strumyczki utworzone z opadów, które z zadziwiającą wartością płynęły dalej, aby łączyć się dalej w rwące leśne potoczki. Chwilę później na niebie pojawił się pierwszy błysk rozświetlający ciemne i złowrogie niebo, a zaraz po nim dało się słyszeć potężny grzmot, co oznaczało, że i burza jest niedaleko. Chłopcy wszystkiego się spodziewali, ale nie końca świata, którego im przyjdzie doświadczyć w podziemnym tunelu. Na niebie pojawiła się kolejna potężna błyskawica rozdzierająca niebo na pół, a wiatr zawył okrutnie! Zwierzęta przerażone wizją utraty domu, a nawet życia pochowały się głęboko w swoich jamach, a ptaki już nie śpiewały głośno, tak jak tego pogodnego ranka. Nagle trach! Nowa błyskawica uderzyła w drzewo z niewiarygodną i niepojętą siłą, rozkołysane wcześniej przez wicher drzewo złamało się i z ogromnym hukiem runęło na ziemię tuż nad głowami zdezorientowanych chłopców. Wtedy deszcz zaczął powoli słabnąć, a wiatr jakby stracił swój impet. W pewnym momencie mogło by się wydawać, że koniec tej przerażającej burzy jest na wyciągnięcie ręki, ale dopiero teraz miało nastąpić najgorsze! Wiatr jakby odzyskał ponownie swoją siłę i ze zdwojoną mocą rozpoczął swój taniec z drzewami. Z nieba najpierw powoli zaczęły lecieć drobne kulki gradu, by chwilę potem runąć za ziemię lawiną zniszczenia! Teraz już ogromne kule gradu zaczęły uderzać w ziemię, jakby chciały dokonać na niej zemsty i rozbić ją w drobny mak. Gradobicie dłużyło się w nieskończoność, jakby nie miało zamiaru się poddać i zaprzestać misji zniszczenia. Liście wielu roślin, choć pochowane pod drzewami ziały ogromnymi dziurami, a niepozorne, lecz urokliwe do niedawna kwiatuszki zmieniły się w żałosne kupki mokrych i podartych płatków porzucanych dookoła. Wiatr swoim naporem łamał grube konary i ugiął drzewa jakby kazał się im kłaniać. I nagle w jednej krótkiej chwili świat zatrzymał się w bezruchu, grad przestał lecieć z nieba, a wiatr ucichł i zaległa martwa cisza. Upragniony i wyczekiwany koniec burzy zwiastował swe przybycie. Ptaki nieśmiało powychodziły ze swoich kryjówek i radośnie zaśpiewały, jakby nic się nie stało. Zwierzęta ufnie wychylały pyszczki w poszukiwaniu słońca, które nieśmiało przebijało się przez chmury.

Pomimo tego, że burza, ta okropna i przerażająca burza wreszcie się skończyła, Bartek i Piotr nadal byli struchlali ze strachu. Zziębnięci i głodni w milczeniu zastanawiali się, czy wyjdą cało z tego ambarasu, który sobie zgotowali. Wyrzucali sobie bezmyślność, dziecinadę, głupotę, ale to było nic w porównaniu ze strachem, że nikt ich nie zdoła uwolnić. Chęć zdobycia wojennych trofeów zaćmiła im rozum. Gdy tak siedzieli pogrążeni w ponurych myślach, nagle zdali sobie sprawę, że słyszą kogoś nawołującego, jakieś dalekie „Hop! Hop!” Najpierw tak niewyraźnie, że myśleli, iż się przestyszeli. Ale za chwilę byli już całkiem pewni, że to klasa Bartka ruszyła na poszukiwanie kolegi. Radość i nadzieja wstąpiły w chłopców, zaczęli krzyczeć na całe gardło: „Tutaj, pomocy, jesteśmy pod tą zwaloną górą belek!” Chłopcy podbiegli do wejścia tunelu i zaczęli odrzucać przewrócone belki, nie przestając krzyczeć, ale też płakać i śmiać się. Zachowywali przy tym ostrożność, żeby coś się znowu nie obsunęło. Po niedługim czasie udało się utorować wyjście. Chłopcy pomimo wyczerpania byli szczęśliwy, że są cali i zdrowi.

Ta wyprawa będzie dla nich lekcją, której nigdy nie zapomną. A najpewniej zadba o to wychowawca Bartka, a i nie raz przypomną rodzice.

A Piotrek nieraz opowie o tej szalonej i niebezpiecznej wyprawie w trakcie różnych spotkań ze swoimi kolegami, ale tym razem nie będzie musiał nic ubarwiać, jak miał zwykle w swoim zwyczaju.



Wyróżnienie za opowiadanie

Dla
KATARZYNY MOKOSY
za opowiadanie
Biała sowa,
w którym Autorka bezbłędnie realizuje konwencję baśni.



KATARZYNA MOKOSA

Z BĘDZINA, 12 LAT

BIAŁA SOWA

Dawno temu i bardzo daleko stąd, na preriach Ameryki Północnej, żyło plemię indiańskie. Składało się nie więcej, jak z czterdziestu ludzi. Plemię to, w odróżnieniu od innych plemion, jak już wcześniej wspomniałam, wędrowało tylko po niewyobrażalnie wielkich przestrzeniach zwanych preriami. Były to bardzo suche i puste tereny, na których panowały trudne warunki do życia. Jednak ta niepozorna grupa ludzi potrafiła dostosować się do otaczających ich warunków, doskonale radziła sobie w takim otoczeniu. Pewnie już dobrze wiecie, że każde indiańskie plemię ma swojego szamana. Tak było również i w tym przypadku. W tym plemienu była to bardzo stara i doświadczona szamanka o imieniu Meoh, co w języku indiańskim oznaczało Mądra Sowa. Miała ona córkę Nerahi (Śpiącego Konia), a także bardzo małą wnuczkę, która nazywała się Tika – Szybka Wilczyca. Miała śliczne, czarne jak węgiel długie włosy, które sięgały jej do kolan. Jej wielkie, ciemnozielone oczy przypominały dwa przejrzałe liście. Tika była miłym, pomocnym, życzliwym oraz pojętym dzieckiem. Wszyscy członkowie plemienia bardzo ją za to lubili. Mąż Meoh był wodzem, ponieważ był najstarszym ze wszystkich mężczyzn w plemienu. Niestety, mąż jej córki Nerahi zginął podczas jednej z bitew z innym plemieniem indiańskim, pochodzącym z wysokich gór – został zastrzelony. Strzała przebiła mu serce i nic już nie dało się zrobić. Stało się to, gdy Tika miała cztery latka. Nerahi długo rozpacziała, ale w końcu pogodziła się z jego śmiercią. Od tej pory wychowywała córeczkę sama.

Było nadzwyczaj upalne lato, plemię wędrowało przez wielki, niekończący się kanion. Środek tego wysokiego rowu składał się tylko z piachu, mocno wysuszonej ziemi i skał. Miał kolor pomarańczowy. Tika szła dość szybko, była zapatrzona w słońce, gdy nagle, przed sobą usłyszała spadający z wierzchołka kanionu kamyk. Podeszła bliżej, aby móc zobaczyć, kto go stamtąd zrzucił i na wysokiej skale zauważyła małą, pomarańczową kitkę. Okazało się, że był to malutki lisek pustynny, który bardzo dobrze ukrył się w skalnym wrębie. Tika rozpoznała to zwierzę od razu, bo jej babcia Meoh często opowiadała jej o różnych stworzeniach,

żyjących na pustyni. Ponieważ Tika była bardzo ciekawską osobką, w mgnieniu oka pobiegła za liskiem pustynnym, który właśnie próbował uciec, bo zląkł się plemienia, które właśnie wychodziło zza zakrętu drogi. Mała, ciekawa świata dziewczynka na tym nie poprzestała. Goniła go dotąd, aż wreszcie lisek zatrzymał się. Nie chciała zmarnować okazji, więc wyjęła z kieszeni spódniczki mały owoc opuncji i rzuciła liskowi pod mordkę. Zwierzak obwąchał go, po czym zjadł, oblizując się co chwilę. Podszedł bliżej Tiki, choć przedtem wydawał się nieufny i z pełnym spokojem dał się jej pogłaskać po brzuszku. Przez chwilę bawiła się z nim, a on machał kitą i wyglądał na zadowolonego. Być może, gdy wędrował po pustyni całkiem sam, czuł się samotny i brakowało mu towarzystwa. Jednak gdy usłyszał w oddali głosy członków plemienia, zerwał się i uciekł. Trochę smutna Tika, z powodu straty nowego przyjaciela, wróciła do plemienia.

Szli jeszcze może pół kilometra, a ponieważ już się ściemniało, a po zmroku na pustyni robi się niebezpiecznie, postanowili rozłożyć obóz. Zatrzymali się na szerokiej płaszczyźnie, położonej w kanionie. Jak zwykli to robić, szybko i sprawnie rozłożyli wigwamy, ustawili je w wielkim kręgu, tak że żaden wróg czy drapieżne zwierzę nie mogło wdrzeć się do środka. Po rozstawieniu obozu, przyszykowali kolację i wszyscy razem usiedli przy rozpalonym ognisku. Pokłonili się również zachodzącemu słońcu, odprawili kilka stałych obrzędów indiańskich i powitali boga gwiazd, wykonując taniec na jego cześć. Potem Meoh, jak to miała w zwyczaju, wzięła Tikę do swojego wigwamu i opowiedziała jej przepiękną historię. Była to opowieść o małej, ciekawskiej dziewczynce, która znalazła tajemniczą krainę zmarłych dusz jej przodków. Mała bardzo lubiła opowieści swojej babci. Każda z nich bardzo ją ciekawiła. Po skończonym opowiadaniu, Nerahi zabrała córkę do namiotu i położyła ją spać. Rozmarzona Tika szybko zasnęła. Miała wiele snów. Spała nie więcej jak godzinę. Księżyc był już na samym szczycie nieba wraz z towarzyszącymi mu jasnymi gwiazdami. Niebo przybrało kolor głębokiej toni wodnej. Nagle Tika poczuła łagodny dotyk czegoś miękkiego. Obudziła się, by sprawdzić, co to. Gdy wstała, ujrzała przed sobą małego, zmarzniętego i śpiącego liska pustynnego, który szukał schronienia przed zimnem nocnej pustyni. Dziewczynka od razu go przygarnęła i przytuliła do siebie. Gdy już chciała zamknąć oczy, śpiący lisek się obudził. Stał chwilę nieruchomo, aż nagle wybiegł z wigwamu i popędził w stronę ściany kanionu. Tika także wyszła, żeby zobaczyć, co się stało i nagle w oddali zobaczyła zwierzątko, które przyglądało się małemu białemu światełku. Było to bardzo jasne światło. Dziewczynka poszła za nim. Zaprowadziło ją one do wielkiej jaskini, z której z sufitu

zwisaly lśniące kryształy. Światełko jeszcze nie gasło. Doprowadziło bohaterkę aż do ciemnego załomu skalnego. Nagle dziewczynka ujrzała ukryte przejście. Weszła tam od razu. Zaparło jej dech w piersiach. Okazało się, że była to kraina dusz zmarłych, o której opowiadała jej babcia Meoh. Nie było to miejsce pełne przerażających stworów, lecz prześliczna kraina. Przypominała ogromną dżunglę. Rostły tam różne, przedziwne, ale zarazem przepiękne rośliny, drzewa sięgały aż do chmur, z nich zwisały jasnozielone liany oraz wielkie, kolorowe kwiaty w barwach tęczy. Najbardziej zachwycały Tikę fruwające, biegające i spacerujące po całej dżungli białe stworzenia. Były podobne do wszystkich zwierząt świata. Każdy Indianin lub Indianka wiedzieli jednak, że nie były to zwykłe zwierzęta, lecz duchy zmarłych. Wierzyli bowiem, że po śmierci, każda indiańska dusza przybierała postać czystego, białego zwierzęcia. Wszystkie dobre dusze trafiały zawsze w to samo miejsce, tylko do tej pory nikt nie mógł go odszukać i nikt nie wiedział, jak dokładnie wygląda.

Tika chwilę rozglądała się dookoła, bo nigdy wcześniej nie widziała tak niezwykłego miejsca. Gdy tak stała, doszedł ją rozpaczliwy głos. W mgnieniu oka dziewczynka wyszła na zewnątrz jaskini i zobaczyła w oddali swoją mamę Nerahi, wołającą jej imię. Szybko podbiegła do swojej mamy, a ta nie mówiąc ani słowa, wzięła ją za rękę i zaprowadziła do wigwamu Meoh, która leżała na kocach. Wyglądała na bardzo chorą, lecz o dziwo była spokojna. Nerahi wytłumaczyła córce, że Meoh pewnie się czymś zatrula i od tego zachorowała. Gdy mama Tiki wyszła, żeby przynieść dodatkowe poduszki dla swojej matki, a Tika została z babcią sama, Meoh uspokoiła wnuczkę i powiedziała, że na nic nie zachorowała ani niczym się nie zatrula, tylko że po prostu już przyszedł na nią czas. Jej ostatnie słowa brzmiały: „Szukaj dobrze, a znajdziesz.” Meoh zamknęła oczy, a wtedy Tika przytuliła babcię najmocniej jak umiała, a z jej małych oczu popłynęły niebieskie łzy. Potem do szałas wbiegła Nerahi. Gdy ujrzała, co się stało, pomodliła się w języku Indian i uściskała płaczącą córeczkę.

Następnego dnia, rano Tika obudziła się bardzo wcześnie, bo przypomniała sobie o cudownej krainie, którą odwiedziła wczoraj. Dopiero teraz zrozumiała ostatnie słowa babci. Uświadomiła sobie, co stara kobieta miała na myśli. Ubrała się najszybciej jak mogła i pobiegła do ukrytej jaskini. Udało jej się ją odnaleźć i zanurzyć się w tej magicznej przestrzeni. Od razu, gdy tam weszła, zobaczyła fruwającą nad jej głową śnieżnobiałą sowę – był to duch jej ukochanej babci Meoh. Śliczna, biała sowa usiadła na ramieniu dziewczynki.

Następnie oprowadziła ją po całej krainie, pokazała dżunglę, różnobarwne kwiaty i zapoznała z duchami przodków.

Od tej pory dziewczynka sama lub z mamą często odwiedza przepiękną krainę, rozmawia z babcią i słucha opowieści dusz jej przodków, a także wędruje i podziwia to niezwykle miejsce. Potem opowiada o wszystkim w plemienu, a mieszkańcy bardzo chętnie słuchają jej opowieści... Kto wie, może i ty kiedyś trafisz do tej krainy, jeśli będziesz dobrze szukał?

Wyróżnienie za opowiadanie

Dla
ANNY Bettleja
za opowiadanie
Autostradą na początek,
w którym zwykła scena pokazuje niezwykłą przyjaźń.



ANNA BETLEJA

Z PRZEMYŚLA, 16 LAT

A

UTOSTRADĄ NA POCZĄTEK

Zbyt mocno szlochałam, by o własnych siłach dostać się do samochodu. Mikołaj prowadził mnie ciemną ulicą przez ścianę deszczu, uwieszoną jego ramienia, którym obejmował mnie sztywno z całej siły. Czułam przez kurtkę jego paznokcie.

Drugą ręką szarpał kieszenie w poszukiwaniu kluczyków.

Otworzył drzwi tak, że prawie wypadły z zawiasów, i posadził mnie na siedzeniu pasażera jak kukłę, stanowczym szarpiącym ruchem. Gdy trzasnął drzwiami, zacisnęłam powieki i wypuściłam z siebie długi urywany wydech. Tymczasem Mikołaj wskoczył za kierownicę, jakby go ktoś ścigał, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył gwałtownie z miejsca. Kiedy otworzyłam oczy, mknęliśmy już drogą, manewrując między trąbiącymi na nas wściekle samochodami. A wszystko to wydarzyło się w przeciągu mojego jednego wydechu.

Wlepiłam wzrok w przednią szybę, o którą bębnił agresywnie deszcz. Było mi tak zimno, że drżałam, mimo że Mikołaj włączył ogrzewanie. Nie poskarżyłam się jednak. Siedziałam w milczeniu, obejmując brzuch ramionami. Wsłuchiwałam się w ciężki oddech Mikołaja, bojąc się, żeby nie wyrwał kierownicy, tak dziko kierował.

– Spokojnie, Kinia, już dobrze – odezwał się chrapliwie dopiero po dłuższym czasie. Kątem oka zauważyłam, że zagryzł mocno dolną wargę i zassał powietrze przez zęby, stale przyspieszając. – Spokojnie...

Chciałam się uspokoić, naprawdę chciałam, ale nie czułam się nawet, jakbym była we własnym ciele. Bałam się odezwać czy poruszyć, bo nie miałam najmniejszej kontroli nad własnym głosem i mięśniami. Wewnątrz mnie szalała burza, a ja nie widziałam innego wyjścia niż przeczekanie jej.

Przed oczami stale przemykały mi urywki obrazów. Zapiekanica odgrzewająca się w mikrofalach. Rozrzucone puszki po piwie. Papierek po cukierku rzucony do kosza, I skórka banana, rzucona tym razem we mnie przez Dorotkę. Rysunek Kacperka. To było jabłko, które wyglądało jak wielki rodzynek, tyle że czerwony. Uniesiona dłoń. Paweł. Wściekły Paweł. Mama siedząca w kącie na kanapie. Jej spuszczone głowa, nieobecny wzrok... Spód mojego łóżka. Belki u góry, na podłodze kurz. Dwie czerwone plamy na podłodze. Jedna po farbie, druga z odcisniętej rozciętej wargi.

Obliziałam usta. Metaliczny posmak wciąż na nich był. Machinalnie rozartałam go językiem na podniebieniu i zaraz pożałowałam. Mój żołądek skręcił się tak boleśnie, że miałam wielką ochotę wymiotować. A potem krzyknąć. Tak, żeby usłyszano mnie na końcu świata, nawet jeśli miałabym zedrzeć sobie gardło i wydusić z płuc wszystko, do ostatniej cząsteczki tlenu. Ale byłam na to za słaba i zbyt zmęczona. Oparłam głowę o zagłówek, jakby ważyła przynajmniej tonę. Mikołaj uspokoił się dopiero na autostradzie, mimo że wcale nie jechał wolniej. A jednak napięcie uszło z niego momentalnie, jakby po długim wysiłku przebił się przez mocno napiętą membranę. Jego uścisk na kierownicy zdecydowanie zelżał. Wcisnął nawet "play" i z odtwarzacza popłynęły pierwsze dźwięki jakiejś piosenki. Dzięki temu miałam wrażenie, że chociaż jedna rzecz jest w porządku – Mikołaj zawsze musiał czegoś słuchać w samochodzie.

Przez chwilę obserwowałam jego twarz, myśląc sobie, że kiedy jest zdenerwowany, wygląda niemalże staro, a przecież ma dwadzieścia cztery lata. O całe dziesięć więcej ode mnie. A mimo to nikt nie rozumiał mnie tak dobrze jak on. Nie miałam rodzeństwa, jedynie kuzynów, ale zawsze marzyłam o bracie, i choć z Mikołajem nie łączyły mnie żadne więzy krwi, był mi chyba najbliższy ze wszystkich ludzi. Otwierał mi oczy i uszy. Pokazywał mi drugą stronę wszystkiego, czego doświadczaliśmy. Jako jedyny nie traktował mnie jak dziecko. Prawie zawsze też potrafił znaleźć dla mnie czas, mimo że studiował i angażował się przy tym w wiele wydarzeń, co dawało mi poczucie, że jestem dla niego nie mniej ważna.

To do niego zadzwoniłam, kiedy Paweł mnie uderzył. Nic nie musiałam zresztą tłumaczyć. Dramatyczne wołanie o pomoc też było zbędne. Mikołaj wiedział i przyjechał po mnie błyskawicznie. Kiedy siedziałam skulona w kącie i usłyszałam pisk opon pod kamienicą, modliłam się, by to był on. I raz jeden zostałam wysłuchana. Paweł naprawdę by mnie zabił, gdyby Mikołaj się nie pojawił...

Na wspomnienie tego wszystkiego poczułam się, jakby coś masywnego usiadło na mojej klatce piersiowej, jakby chciało mnie powoli i bardzo boleśnie udusić. Stanęła mi przed oczami wykrzywiona grymasem złości twarz Pawła, i poduszka, którą przycisnął do mojej twarzy. Po policzkach znów popłynęły mi łzy, mimo że z nimi walczyłam. A bardzo nie chciałam teraz płakać, bo wiedziałam, że nie przestanę prędko.

W tym samym momencie zmienił się utwór, a z nim i nastrój. Po dominacji głośniejszej perkusji i próbujących ją przekrzyczeć ochrypniętych męskich głosach, z odtwarzacza CD popłynęły łagodne i smętne dźwięki gitary elektrycznej. Kątem oka zauważyłam, że Mikołaj zaczął delikatnie stukać palcami o kierownicę, wybijając rytm. Czując na sobie mój wzrok, również na mnie zerknął, unosząc brwi w znaczący sposób. Wiedziałam, co chce powiedzieć. Mam wsłuchać się w tekst, bo to utwór dla mnie. Ale ja nie wierzyłam, że jakaś piosenka może mi tak po prostu pomóc.

Talk to me softly

*There's something in your eyes
Don't hang your head in sorrow
And please don't cry*

Mikołaj poruszał ustami, wypowiadając niemo słowa wraz z wokalistą, ale ja zmarszczyłam tylko brwi w wyrazie niezadowolenia. To było takie głupie... Powiedzieć komuś, żeby nie płakał... Tak jak zdania typu: „uspokój się”, „nie martw się”. Zawsze wywoływały efekt zupełnie odwrotny. Równie dobrze można by kazać komuś przestać myśleć.

*I know how you feel inside, I've
I've been there before
Something's changin' inside you
And don't you know*

Przyszedł refren i Mikołaj zaczął zarzucać głową, śpiewając już na głos.

*Don't you cry tonight
I still love you, baby
Don't you cry tonight*

Czułam, że Mikołaj patrzy na mnie intensywnie, ale ja nie chciałam odwrócić twarzy w jego stronę. Zacisnęłam mocniej drżące usta. Za to on coraz bardziej wczuwał się w piosenkę.

*Don't you cry tonight
There's a heaven above you, baby
And don't you cry tonight*

– Słyszysz, Kinia? – odezwał się po refrenie.

– Słyszę – wymamrotałam w odpowiedzi.

– Więc głowa do góry!

– Ale to nie pomaga – jęknęłam żałośnie. – Tak bardzo chce mi się płakać... – Więc popłacz sobie, Kinia. Guns N' Roses nie zabraniają ci tego.

– Tak, i wspaniale to sugerują refrenem – mruknęłam ze złością.

– Kinga, źle rozumiesz. Przecież kiedy mówisz do kogoś, żeby nie płakał, to oczywiste, że łzy polecą prędzej czy później. A jednak mówisz to, bo chcesz zapewnić, że tak naprawdę nie ma nad czym płakać. I to właśnie chce ci dać do zrozumienia ta piosenka – że to nie koniec świata, choć tobie się tak teraz wydaje.

To nie koniec świata... Bardzo chciałam uwierzyć Mikołajowi, w końcu był starszy i mądrzejszy ode mnie, ale nie potrafiłam...

– Nie mam dokąd wrócić... – wychlipałam. – Nie wiem, dokąd jedziemy...

– Ja też nie.

– Nie mam ze sobą nic... Jak ja sobie poradzę?

– Kinia, nie słuchałaś? Podobno jesteś dobra z angielskiego. „*There's a heaven above you, baby*” – zaśpiewał. – Ponad tobą jest niebo. Całe niebo i ty, właśnie ty, możesz go dotknąć.

– Jak? Jest tak wysoko, podczas gdy ja jestem na samym dnie. Jak niby mam się choć trochę do niego zbliżyć?

Mikołaj wzruszył ramionami.

– Najlepiej po gwiazdach.

Przez chwilę siedziałam w milczeniu, odrobinę rozczarowana. Spodziewałam się innej odpowiedzi. Takiej, która pokaże mi, że sytuacja rzeczywiście nie jest tak straszna, jak mi się wydaje. Nie potrafiłam tak swobodnie podchodzić do tego, co mnie spotykało, cokolwiek by to nie było. Z tej jednej mojej cechy Mikołaj zawsze się śmiał – że tak bardzo się wszystkim przejmuję.

– Gwiazdy też są zbyt daleko – stwierdziłam ponuro.

– Zawsze będą, dopóki stoisz na Ziemi. Hm, Kinia? Może trzeba ją zostawić za sobą?

Pytanie zawisło w powietrzu, ale Mikołaj raczej nie oczekiwał na nie odpowiedzi. To było jedno z tych, które zasiewał we mnie, by wykiełkowały i rozwinęły się samoistnie. Mikołaj wierzył, że potrafię zrobić użytek ze słów.

Opartam pełną myśli głowę o szybę, czując silne pulsowanie w skroni. Oczy piekły mnie od płaczu, w gardle miałam sucho, a na duszy ciężko, jakby była workiem cegieł. Nie wiedziałam, co zrobić. W tej chwili niczego już nie byłam pewna.

– Pośpiewaj ze mną, Kinia – zaproponował nagle Mikołaj. – Zaraz znów refren... Nie miej takiej miny. Zobaczysz, że będzie ci lepiej. Ja wiem, co ci mówię, byłem sam kiedyś w... Uwaga...

W pierwszym odruchu posłałam Mikołajowi sceptyczne spojrzenie. Potem wzniosłam bezradnie oczy ku niebu. Ale nie miałam nawet czasu, żeby zaprotestować. Mogłam tylko wziąć głęboki wdech i...

– *DON'T YOU CRYYYYY... TONIIIIIGHT!* – wydarliśmy się na cały głos. Nie można było tego nazwać śpiewem czy nawet zwykłym fałszem. To było... jak rozpaczliwa prośba. W naszych ustach piosenka przeistoczyła się w krzyk, jedyny sposób na zrzucenie z siebie czegoś, co zbyt długo ciążyło nam na sercach.

Śpiewaliśmy refren coraz głośniej. Ja nie przestałam płakać, wręcz przeciwnie. Ale ten śpiew przez łzy w jakiś sposób mnie uspokoił. Powoli wysysał ze mnie jad, pozostawiając w środku czystą pustkę do wypełnienia. Kiedy patrzyłam na drogę przed nami, docierała do mnie błoga świadomość, że się oddalam. Od domu, od mamy, od kuzynów, od krzyku, od ciosów, od wyzwick i szyderstw. Wszystko to było już za mną. I być może to sprawiało, że bałam się odrobinę mniej, choć kompletnie nie wiedziałam, co mnie czeka na drodze przed siebie.

Nawet nie zauważyłam, że zaczęłam śpiewać głośniej od Mikołaja, choć tak naprawdę słabo znałam tekst. Wszystkie siły włożyłam w wykrzyczenie wersu „*There's a heaven above you, baby*”, jakbym chciała naprawdę przedrzeć się do mojej świadomości i wykuć w niej te słowa jak na rozgrzanej blasze. By w nie uwierzyć. A potem znów opadłam na oparcie fotela, czując się jak po bardzo długim i wyczerpującym biegu. Oddychało mi się jednak dziwnie lżej, a supeł na moim żołądku rozwiązał się. Zniknęła też niewidzialna pięść strachu zagnieżdżona do tej pory w moim gardle.

Mikołaj ścisnął mnie za ramię w krzepiącym geście, uśmiechając się tak, jak zawsze, gdy chciał dodać komuś odwagi.

– Jutro wszystko będzie na swoim miejscu – zapewnił mnie.

– A skąd to możesz wiedzieć? – spytałam sceptycznie.

– Kinia, zaufaj. Po prostu zaufaj.

To kolejna z moich wad – nieufność. Mój mózg jakby na złość wszystkiemu nigdy nie chciał przyjąć, że życie toczy się tak, jak powinno, że wszystko będzie dobrze, a ja jestem na swoim miejscu.

– Komu? – jęknęłam żałośnie.

– Komu chcesz. Osobiście, nie polecam siebie. Ale wiesz? Jestem pewien, że twoim życiem kieruje coś silniejszego od ciebie i na bank prowadzi lepiej niż ja. Może... zaufaj po prostu, że dowiedzie cię do celu, bo myślę, ma za pomoc coś absolutnie genialniejszego niż GPS.



Wyróżnienie za opowiadanie

Dla

KAJETANA CZERWIŃSKIEGO

za opowiadanie

Jedna Krótka Scena,

w którym dzięki konsekwencji niedopowiedzenia jest miejsce dla czytelnika.



KAJETAN CZERWIŃSKI

Z WARSZAWY, 16 LAT

JEDNA KRÓTKA SCENA

Scenę zalewał blask jupiterów, rozjaśniający podłogę ze startych, sosnowych desek. Pamiętam, gdy pierwszy raz na nią wchodziłem i euforię, jaka mną wtedy targała. Odczułem słodki przyptyw radości, gdy usłyszałem stukot moich własnych stóp uderzających głucho o podłogę w biegu. Dookoła mnie – karmin kurtyny, a przede mną nieodgadniona czerń widowni. Czułem tam obecność ludzi, bardzo, bardzo wielu, jak wpatrują się we mnie z wyczekiwaniem, ale nie widziałem żadnego z nich. Byli skryci za płachtą mroku tak czarną, że czułem jakbym mógł dotknąć nieskazitelnej tafli tej czerni i wpaść do jeziora smoły. Rozejrzałem się uważnie. Nie byłem na scenie sam. Oprócz mnie, było tam jeszcze paru innych aktorów. Tylko stali tam, kilku mamrotało swoje kwestie pod nosem, do siebie. Przyglądałem się im przez moment, ale zaraz zdałem sobie sprawę, że takie gapienie się jest zwyczajnie niegrzeczne, wygląda dziwnie i, że wszyscy teraz gapią się na mnie. Odwróciłem wzrok.

Ach!, to już scena. Teraz mam swoją szansę, trzeba coś powiedzieć... Ale nie coś; trzeba wygłosić swoją partię! Stres mnie pożerał, w panice próbowałem przypomnieć sobie własny tekst, ale jakoś wszystko wyleciało mi z głowy... Tyle miałem do powiedzenia, a teraz, gdy już się tu znalazłem, w momencie na który tak szalenie długo czekałem, odjęto mi mowę... Patrzyłem tylko zawstydzony w pustkę widowni. Czy oni patrzyli tak samo na mnie? – pytałem siebie. Może zastanawiają się czy to gra, czy to ja po prostu nie pamiętam co mam powiedzieć... Nie, na pewno wiedzą. Czuć to w powietrzu. Czas mija – co robić, co robić..? Jeszcze chwila i czas się skończy, nie mogę tak stać jak kołek! Zacząłem improwizować, bełkotałem co mi ślina na język przyniesie, byleby tylko coś powiedzieć, byleby... Zgubiłem wątek. Nagle mnie naszło – scenariusz! Ta myśl spłynęła jak widzenie od Boga Wszchemogącego – przecież mam ze sobą scenariusz! Wyjąłem drżącymi rękoma kartkę z pazuchy i gorączkowo począłem przelatywać po drobnych literkach wzrokiem w poszukiwaniu mojej roli. W końcu znalazłem. Kilka linijek tekstu... Niewiele, ale zawsze coś.

Przecież mogłem być jak Ci którzy wychodzą na scenę tylko na chwilę, na moment żeby wnet zniknąć, nie powiedziawszy nawet słowa... Zacząłem czytać. Na początku za cicho – szybko zorientowałem się, że w ogóle mnie nie słyszą, spróbowałem głośniejsze, ale miałem wrażenie, że zakrzykuję wszystkich innych aktorów... Nie byłem tu rzecz jasna sam. Roito się tu od takich jak ja, którzy też chcieliby odegrać swoją partię jak najlepiej, ale gdy w końcu znalazłem odpowiednią intonację, inny aktor, elegancik że ho ho, butki wypucowane, krągłe kształty, ciemne włosy przylizane i obfite lico szlachcica zaczął mówić, i wydawało mi się, że cała uwaga skupiła się na nim. Jego rola była długa, recytował ją płynnie z pamięci, ale kompletnie bez życia, jakby był znudzony tym wszystkim, i choć recytował bezbłędnie, widownia nadal milczała. Tylko siedziała tam, bez słowa... Nawet ktoś taki jak on nie został nagrodzony aplauzem. Zacząłem zastanawiać się czy w ogóle tam była, czy może – w jakimś groteskowym żarcie bez puenty wypruwamy sobie żyły przed salą pełną pustych krzesel...

Tamten, ukłoniwszy się odszedł bez słowa, odwracając się tyłem do widowni. Niewychowany gbur. Czy nie wie, że to niedopuszczalne w teatrze? Kto go wybrał..? Mogę zagrać lepiej – przeszło mi przez myśl... To takie niesprawiedliwie, że tacy jak on dostają najlepsze kąski, a ja..? Byle ochłap, który mógłby przeczytać każdy. Może, w jakiejś innej rzeczywistości – gdybym to ja miał jego tekst, widownia nagrodziłaby mnie gromkimi brawami..? Albo chociaż pojedynczymi, niepewnymi klaśnięciami? Ale nie miałem... Nie miałem i mieć nie będę...

Dokończyłem swój tekst. Króciutki - ledwie akapit. Popatrzyłem w mrok przede mną, zawiedziony własną bezradnością. Miałem ochotę krzyknąć: „Czy mnie widzicie?!”. Nie krzyknąłem, zabrakło mi odwagi... Zresztą, nawet gdybym krzyknął, i tak pewnie nikt by mi nie odpowiedział. Stałem tak jeszcze chwilę, aż kilku aktorów popatrzyło się na mnie z wyczekiwaniem. Ach, tak... To już koniec, trzeba zejść ze sceny. A z jakim entuzjazmem na nią wchodziłem! Co za fatalny scenarzysta – przeszło mi jeszcze przez głowę. Ci na scenie, którzy grali najdłużej, wyglądali na zmęczonych, a ja miałem wrażenie jakbym musnął za ledwie uwerturę mojego potencjału. Dopiero teraz czułem się naprawdę gotowy, teraz gdy schodziłem już ze sceny! Jakie to niesprawiedliwe. Ruszyłem powoli ku kurtynie z głową spuszczoną w dół, i gdy ogarniała mnie gorzka czern kulisów, ktoś mnie trącił. Ach, to jakiś aktor wybiega cały w skowronkach na scenę. Żal ścisnął mi gardło. Popatrzyłem na jego młode, pełne blasku oczy, jak lustra jupiterów. Moje własne – zasły łzami.

Wyróżnienie za opowiadanie

Dla

DANIELA CHMIELA

za opowiadanie

Cisza,

*w którym muzyka, cisza i sen są nie tylko tematem opowieści, ale też źródłem
jego magicznej aury.*



DANIEL CHMIEL

Z RUDY ŚLĄSKIEJ, 19 LAT

CISZA

Chcę opisać, co przyśniło mi się pewnej nocy. Myślę, że najlepiej charakter tego snu oddadzą sławne trzy cyferki: 4'33 (tylko tym razem liczymy w godzinach). Choć może nawet nie to, każdy tacet przecież zakłada obecność publiczności, jej naturalne życiowe odgłosy i dźwięki spadających na ziemię numerków z szatni, oczywiście metalowych. Nie tak było u mnie. U mnie nie było. To znaczy było, ale właśnie nic. Pustka. Możecie pomyśleć (bo chyba tylko tyle wam zostaje), że skoro tak się sprawy mają, pewnie po prostu rano nie pamiętałem podświadomych wydarzeń dopiero co ubiegłej nocy, ale to nie to. Ja naprawdę wtedy poznałem ją. Usłyszałem ciszę.

Ludzie od zawsze poszukują ciszy. Kiedyś trzeba było uciekać przed hałasem łupanych kamieni, potem rozłupywanych miast. Mechanizm jest ten sam, zmienia się jedynie medium. Teraz akuzmatyczny dźwięk rozdrabnia samą przestrzeń, prowadzi do rozedrgania najdrobniejszych komórek ciała i powoli je dezintegruje; cóż, trzeba się z nim żyć i jakoś z tym próbować żyć.

Zmieniają się jednak przede wszystkim sposoby na unikanie niechcianych zjawisk fonicznych. Teraz nie można po prostu przejść paru kroków do sąsiedniej jaskini i w spokoju położyć styraną, kosmatą głowę na milczącym kamieniu. Nie można schować się w swym dźwiękoszczelnym sanktuarium na szczycie kilkudziesięciopiętrowego wieżowca i oddawać medytacji w ironicznym stosunku do całego świata.

Wszyscy byli pewni, że nie da się już uwolnić, że nasze małżowiny i mózgi skazane są na wieczne przebodźcowanie.

A ja tego dokonałem. Albo raczej to dokonało się we mnie. Trudno o tym myśleć, a tym bardziej pisać. Nie jestem do końca pewien, po co to robię.

Ten poranek nie należał do najprzyjemniejszych w moim parszywym życiu. Nie żeby były jakiegokolwiek przyjemne, po prostu ten plasował się na skali odczuwania radości z rozpoczęcia kolejnego dnia wyjątkowo nisko.

Obudziła mnie poranna syrena, śpiewająca ze ściennego zegara:

Bruder Jakob, Bruder Jakob...

Wyjątkowo nie lubię tej wersji językowej. Chciałem coś jej odwarknąć (czasami działało i zyskiwałem jeszcze parę minut spokoju), ale dziś nie byłem w stanie zmusić krtani do najdrobniejszego ruchu.

Schläfst du noch? Schläfst du noch? – niestrudzenie ciągnęła.

Schowałem głowę pod poduszką, jakby odpowiadając swoją postawą na to retoryczne pytanie. Zdobyłem przez to parę sekund, zanim moje uszy przywykły do nowej akustyki. Codziennie ta sama gra, zawsze z bolesną świadomością, że to nie ma najmniejszego sensu.

Hörst du nicht die Glocken? Hörst du nicht die Glocken?

Zebrałem całą siłę woli, której niestety nie było jakoś zatrwająco dużo, żeby przygotować się na ten moment. Dzwony były zawsze najgorsze. Syrena nie zawiodła mnie i tym razem. Udało jej się wyprodukować jedno z najbardziej przenikliwych, dysonujących alikwotami i wwiercających się w twarde tkanki brzmień, jakich miałem okazję doświadczyć w życiu, a nie było ich przecież znowu tak mało.

Ding dang dong, ding dang dong.

Wtłoczone w ramy języka, słów i symboli, one rzeczywiście wyglądają niegroźnie. To przecież pioseneczka dla dzieci, czego tu się obawiać. Tak... Czuję się prawie jakby robiła mi to za karę, a przecież nie było żadnego powodu do wymierzania mi kary.

Przecież codziennie w końcu prędzej czy później wstawałem; każdego dnia zwlekałem się z łóżka i niemal od razu zaczynałem audiolizowanie. Na nim mijał mi dzień, a czasami również część nocy. Mimo mojego ograniczenia jakichkolwiek kontaktów z innymi ludźmi wiedziałem doskonale, że wiele z nich ma gdzieś swoje obowiązki, a nie mają takich problemów. Wyciszają niechciane częstotliwości, odkładają zaplanowane seanse na dogodniejsze dla nich godziny, a ci zdolniejsi nawet wprowadzają hakerskie modyfikacje w swoich playlistach. A jednak nie muszą znosić codziennie rano wątpliwej jakości wycia (już nawet nie śpiewania) swoich syren.

W porównaniu do nich nie byłem wcale taki zły. Weźmy chociażby wczorajszy wieczór. Przypadła mi *Symfonia Pieśni Żałosnych*. Bąknąłem tylko pod nosem, że co to za starocie i zacząłem seans. Ponieważ już sporządziłem opis, nie będę teraz mnożyć materii ponad miarę, zainteresowanych odsyłam do Archiwum. Chcę tylko wspomnieć, że mogłem bez większych problemów skompresować nagranie i mieć spokój ze świdrującym sopranem

i kontrapunktującymi go basami. Przynajmniej oszczędziłbym nieco uszy. Ale pozostawiłem nagranie w niezmienionej postaci i jakoś przetrwałem przesterowania przeoczone przez realizatora w postprodukcji. Oczywiście poza tym musiałem znowu się poddać i zacząć swoim nędznym kontratenorkiem wtórować sopranowi *Synu, synu miły...* Moje struny głosowe nie zniosły tego za dobrze.

A jednak z jakiegoś powodu syrena uwzięła się na mnie i postanowiła znów zepsuć mi dzień. Decydując się na rozważenie tego smutnego wydarzenia w bardziej przystępnym terminie biorę się już do roboty. Parę koncertów, pieśni i godzin później, w trakcie przerwy popołudniowej (bynajmniej nie od dźwięków, tylko od ich audiolizowania), wracają do mnie niechciane myśli, schowane wcześniej przeze mnie gdzieś za hipokampem.

Analizując kolejne możliwości – że dramatyzuję i robię z siebie męczennika, że po prostu po tak krótkiej nocy byłem nadwrażliwy, że syrena miała gorszy dzień – muszę wszystkie po kolei odrzucać. Fakty pozostają faktami. Podczas gdy znajomi są wyprowadzani z łózek przez przyjemne brzmienia baryfoniczne, dla mnie została wybrana infantylna dziecięca piosenka w niezbyt udanym wykonaniu, i to po niemiecku. No i te dzwony. Mała ilość snu nie była niczym nowym, nigdy zarywanie nocy nie sprawiało mi żadnego problemu. Wreszcie absurdalny w samej swej istocie pomysł o jakiegokolwiek emocjonalności syreny również musiał zostać odrzucony.

Cały problem polega na tym, że gdzieś podskórnie znam rozwiązanie, tylko nie chcę dopuścić do siebie myśli o jego istnieniu. Ale jako racjonalny człowiek (za takiego przynajmniej się uważam i jako taki chcę być postrzegany) nie mam innego wyjścia. Muszę kolejny raz dojść do wniosku, że przyczyna leży w moich niezwykłych snach (nie-snach). Tylko one były wyróżnikami ostatniego czasu, współczynnikami formy mojego życia, których wcześniej nigdy w nim nie było. No i oczywiście pierwsza specjalna pobudka została mi zaserwowana zaraz po pierwszym udanym śnie.

Odkładając znowu na później (chyba robię to zbyt często) wyjaśnienie tego, w jaki sposób można było dobrać się z zewnątrz do prywatnej (jak mi się dotąd zdawało) sfery moich snów, zostają pochłonięty przez kolejne audiolizy. Te dzisiejsze są jakieś wyjątkowo męczące, trudno mi powiedzieć dlaczego. Łatwo można sprawdzić ambitusy albo wyłapać nienastrojone skrzypce w trzecim pulpicie, gorzej z wyjaśnieniem, skąd emocje i wrażenia, jakie wywołuje w nas muzyka. Kolejne też będą trudne i wyczerpujące.

Szczęśliwie popołudniowa sesja płynnie przeszła w wieczorną, ta w nocną i już tego dnia nie musiałem zajmować myśli moim małym problemem. Niczym nie musiałem zajmować myśli, bo niemal od razu po ostatnim utworze zasnąłem snem sprawiedliwego. Dziś z perspektywy czasu oczywiście wyrzucam sobie wczorajszą prokrastynację, ale cóż – przeszłości już nie zmienię.

Niestety dzisiejszego ranka znów syrena uradowała moje uszy wspaniałą obudzątką. Tym razem do wnętrza kanałów słuchowych i głębi mojego jestestwa wdarła się oprócz wspaniałego jak zawsze wokalu orkiestra marszowa z refrenu *Hej miśki, czas wstać* z całym dobrodziejstwem inwentarza. Co gorsza, w całości zsyntezowana komputerowo.

Ponieważ muszę już zaczynać pracę, a na dzisiejsze utwory czekałem dosyć długo, znów nie myślę o niczym oprócz aktualnie odtwarzanej muzyki. Podobnie podczas przerwy i w czasie kolejnej sesji mój mózg cierpi na niedobory mocy obliczeniowej, więc nie zajmuję się próbami rozwiązania niewygodnego problemu.

Podobnie będą wyglądały kolejne dni, które wraz z nieubłagany upływem czasu połączą się w tygodnie i miesiące. Syrena co rano będzie prezentowała jakiś wyjątkowo denerwujący kawałek (już ona wie, na co najgorzej zareaguję), ja będę coraz mniej uwagi poświęcał tym nieprzyjemnym doświadczeniom. Z coraz mniejszym poczuciem winy odłożę jeszcze wiele razy rozwiązanie problemu na później. A człowiek się przyzwyczaja. W końcu po repertuarze dziecięcym syrena sięgnie po pop, underground i noise, może nawet muzykę konceptualną – wszystko, byle mnie wkurzyć. Ja chyba nawet zacznę trochę to lubić – bo nie będę miał innego wyjścia.

Co najważniejsze, śnię ciszę. Tego nikt mi nie odbierze. Tak już będzie, błogosławione zero każdej nocy wypełni mnie i już nie będzie nic. Albo właśnie będzie, zależy jak patrzeć. W tym świecie, którego nie ma, będę chował się sam, aż mnie też nie będzie. Gdy cisza będzie we mnie, a ja w niej, to się stanie.

Oto Ona



SPIS TREŚCI:

Jury Przeglądu	3
Fundatorzy nagród i przyjaciele Przeglądu	3
dr hab. Iwona Gralewicz – Wolny	
Przedmowa jury	5
Nagrody	9
Nagroda za wiersz w grupie wiekowej 10–12 lat	11
Oliwia Hebda z Katowic, 11 lat	
"Ogień"	13
Komentarz	14
Nagroda za wiersz w grupie wiekowej 13–15 lat	15
Natalia Łyś z Charsznicy, 14 lat	
"Teatr"	17
Komentarz	18
Nagroda za opowiadanie w grupie wiekowej 13–15 lat	21
Anna Macuda z Jaworzna, 15 lat	
"Teraz już będzie inaczej"	23
Komentarz	32
Nagroda za opowiadanie w grupie wiekowej 13–15 lat	33
Paulina Tyc z Paweli Małej, 15 lat	
"Niewygodne pytanie"	35
Komentarz	45
Wyróżnienia	49
Wyróżnienie za wiersz	51
Justyna Smagała z Miechowa, 17 lat	
Uzasadnienie jury	53
"Między planetami"	55

Wyróżnienie za opowiadanie _____	57
<i>Natalia Bernacka z Jastrzębia - Zdroju, 10 lat</i>	
Uzasadnienie jury _____	59
"Zośka" _____	61
Wyróżnienie za opowiadanie _____	69
<i>Weronika Sibiga z Tychów, 12 lat</i>	
Uzasadnienie jury _____	71
"Nocna wyprawa" _____	73
Wyróżnienie za opowiadanie _____	79
<i>Katarzyna Mokosa z Będzina, 12 lat</i>	
Uzasadnienie jury _____	81
"Biała sowa" _____	83
Wyróżnienie za opowiadanie _____	87
<i>Anna Betleja z Przemyśla, 16 lat</i>	
Uzasadnienie jury _____	89
"Autostradą na początek" _____	91
Wyróżnienie za opowiadanie _____	97
<i>Kajetan Czerwiński z Warszawy, 16 lat</i>	
Uzasadnienie jury _____	99
"Jedna Krótka Scena" _____	101
Wyróżnienie za opowiadanie _____	103
<i>Daniel Chmiel z Rudy Śląskiej, 19 lat</i>	
Uzasadnienie jury _____	105
"Cisza" _____	107

